



PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 49.

Warszawa, dnia 27 Listopada (9 Grudnia) 1875 roku.

Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie rs. 6 k. „	rocznie rs. 8 k. —
półrocznie „ 3 „ „	w Krakowie rocznie z stem-
kwartalnie „ 1 „ 50	plem dzienn. Złr. 10.
miesięcznie „ 50	w Galicyi Złr. 11 cent. 50.
	w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY

wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCJA PRZY ULICY NOWY-SWIAT

NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w Poznaniu w księgarni Leitgeb i Spółki, we Lwowie w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spółki, w Wilnie u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

TREŚĆ. Szpargały różnoczesne p. Zofiję z Brzozówki (d. c. n.). — Nasze podręczniki do nauki historii powszechnej (dok.). — Życie i obyczaje roślin p. W. Niewiadomskiego. — Feliks Mendelssohn Bartholdy, przez H. Pfeila. — Laokoon. — Ślady życia. XLVIII. — Fantazyja Dra Ox, przez Juliusza Verne (c. d.). — Biblijoteczka domowa. — Rozmaitości. — Od redakcyi. — Drzeworyty: Grupa Laokoon. — Dziecko nad książką.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki
zebrała

Zofija z Brzozówki.
(ciąg dalszy)

— Oż się dzieje z panem Ślepownem?

— Stosownie do swego nazwiska szedł na oślep przez życie, i pomimo dobrych chęci pół fortuny wyekspensował na oszustów; nawet w prawdziwie dobrych zamiarach szkodził sobie, gorszył drugich. Naprzykład, dowiedział się gdzieś że jest na świecie płodozmian i postępowe rolnictwo, wnet poświęcił na to parę folwarków, sprowadziwszy z nad Sprei cywilizatorów z machinami i bydłem. W lat kilka stracił cały nakład, a szanowni cywilizatorowie wygrali z nim proces, i musiał jeszcze sute kosztą zapłacić. Śmieli się po cichu kochani sąsiedzi, chwalać swoją trzypółówkę, spleśniałą rutynę nad prawdziwy postęp wynosząc.

Nadworny konsyliarz uniewinnił poufnie pana Ślepowna, mówiąc: że mózg jego ledwo trzydziści uncyj wyniesie, lecz i jemu, nie się już nie należy nad wieczny odpoczynek: umarł już także na wodną puchlinę. Fortuna dostała się w poczeiwe ręce, światłym spadkobiercom.

— Jakże taki idyjota mógł dobrze wychować swe dzieci?

— Spadkobiercami są dalsi krewni, dzieci p. Ślepowna marnie poginęły. Z trzeciej żony miał co prawda syna podobnego do ludzi.

— Jużto mówcie co chcecie, rzekł p. Drobysz, bez różgi nie podobna wychować dobrze dzieci. Byłoby nie przesolić, to narzędzie konieczne. Coby to i z nas było, gdyby nas nie ćwiczyli za młodu? kto wie na co byśmy wyszli?

— Możebyśmy byli gorsi, może lepsi, odpowiedział p. Senadworski. Bóg jeden wie co by było, człowiek to tylko wie co jest. Ale zrozumieijmy samą zasadę cielesnej kary.

— Ja tam o zasadach nie wiem, ale to wiem z doświadczenia: że ile znałem w ryzie trzymanyh dzieci, tylu widziałem porządnym ludzi; ile rozpieszonych, tylu mazgajów i nie do rzeczy pod każdym względem.

— Panie Jacenty, czy znasz wszystkich ludzi całego świata, a choćby swojej prowincyi, czy wiesz jak wychowani byli?

— A toć wołowejskóry za mało na spis wszystkich z jednego powiatu, a życia nie stanie na znajomość wszystkich z jednej prowincyi...

— Jakże więc opierać to lub owo zdanie na tak wąskiej podstawie, jaką jest osobista znajomość i doświadczenie jednego człowieka?

— Jużciż nie można; lecz jakaż inna droga kontroli, oprócz poznania większości złych lub dobrych skutków, wynikłych z danej przyczyny?

— Słusznie, lecz jakże się o tej większości dowiedzieć? Sami przecież uznajecie, że życie



Laokoon.

ale sławny guwerner odpędził murozum zgłowy ową róższką, którą jakoby: „Duch święty dziecięcki bić radzi,” umarł chłopak w Aversa w domu obłąkanych.

ludzkie nie wystarczy na kontrolę tej większości.

— Czego człek sam nie widział, może się dowiedzieć o tem od drugich.

— Prawda, lecz od czasu jak Pan Bóg pozwolił ludziom druk wynaleźć, nie ma w niczem sekretu. Co się dzieje na jednym końcu świata, wnet wiedzą na drugim. Tym więc sposobem, ludzie całego świata rozmawiają o wszystkim, kontrolują większość złych lub dobrych skutków, wynikłych z danej przyczyny i przychodzą do wyjaśnienia zasad w ich najobszerniejszym zastosowaniu, do życia jednostek i ogółu. Kontrola otóż złych i dobrych skutków na świecie, wykazała, że kara cielesna w wychowaniu, wyrzuconą być musi z chrześcijańskiej społeczności.

— Dobrze jest bić kotlety ale nie dzieci, wtrąciła pani Nieborska, toć dziś już nawet konie ujeżdżają się bez bicia.

— Ha! niechże tak będzie jak mówicie. Wy tam więcej odemnie czytacie, mnie ledwo czasu wystarcza na jedną gazetę przy gospodarce; nigdy jednak nie zrozumieć jak się obejdzie dziecko głupie bez strachu i grozy?

— A powiedzże panie Jacenty co umiędziecko bez nauki?

— Umie jeść i pić.

— Cóż więcej?

— Cóż więcej, no, umie do czasu kochać papę i mamę; potem jak się wydobędzie na wolność to już za nie ich ma....

— A zatem: żeby to kochanie nie zwietrzało, należy je łagodnie rozwijać i kierować niem umiejętnie; należy się starać tak dziećmi pokierować iżby nie bólu różgi ale bały się obrażenia rodziców. Zgadzą się zatem w zasadzie obydwaj na potrzebę bojaźni, a w tem się tylko różnimy, że wy ją chcecie przez ciało, my przez duszę wprowadzić.

— Czyż ja oprawca jaki? I ja zgadzam się z wami, bo mi tylko o dobre skutki chodzi. Czyż to miło człowiekowi katować krew swoją własną.

— Zważ jeszcze kochany panie Jacenty, że dziecię przez bojaźń kary cielesnej wstrzymane od złego, póty go się niedopuszczy póki od rodziców zależy. Potem pójdzie drogą jaką zechce...

— Macie zupełną słuszość i chętnie uznaję się zwyciężonym, ale wracając do rzeczy powiedzieź teraz, jakim sposobem taki a la pan Spirydjon kawaler dostał aż trzy żony? Czyż by istotnie matki oddawały córki więcej dającym?

— Prawie tak, tylko pod skromniejszym pozorem, pod pozorem karyjery i tak nazwanego szczęścia swych dzieci.

— Doprawdy, świat zepsuł się do ostatka, powiedział pan Prot Działosza.

— Nie zgadzam się na to wcale: owszem uważam że się coraz przerabia na lepsze.

— Śliczna lepszość, gdy wszystko do góry nogami przewrócone!

— Zapewne że wygodniej mieszkać w walciej się chacie niżeli pośród gruzów, ależ muszą być gruzy zanim nowy gmach stanie.

— Nie tego nie pojmuję. Powiedz wprost panie Norbercie, dla czego to dawniej nie

spekulowano z ożenkiem a szczęśliwsze były małżeństwa?

— Dla czego wasz ojciec panie Procie, trzymał się trzypolówki, i prowadząc dom otwarty kapitały składał? Czemu wy, żyjąc z kolei i daleko skromniej i na tej samej fortunie o małości w długi nie popadli, nie uległszy żadnym klęskom nadzwyczajnym?

— Bo za czasów rodzica inne były warunki dla rolnika. To też widząc że gdy nie ja to mój syn zbankrutować w ten sposób musi, zaprowadziłem gospodarstwo postępowe do ducha czasu zastosowane, no i dziś jako tako Bogu dziękować.

— Aha, więc już w pierwszym roku owych ulepszeń, mieliście większe z majątku dochody?...

— Gdzie tam, prawie nie miałem przez pierwsz trzy lata, śmieli się ze mnie sąsiedzi, do dziś nawet śmieją się z tych zamorskich jak utrzymują ulepszeń; powodzenie, przypisując jedynie mojemu osobistemu szczęściu.

Jednak i z nich mało który słowo w słowo, trzyma się ojcowskiego trybu. Ten stawia karczmy i browary; powiększa wysiewy lub je pomniejsza; ów zmniejszył liczbę służących, podparł się sukcesyjką po stryjaszku, którego nie był synowcem; lub bogatym ożenkiem podreperował pochyloną fortunę. Słowem, każdy coś swego dodał do ojcowskiej rutyny, utrzymując że starzy nie umieli się rządzić; starzy znów za to kiwając głowami, powtarzają że tych wymysłów i wykrętów nie znali, a było chleba po uszy i złota pełno w szkatule.

— Alboż nie widzicie w tem wszystkim rozdzielenia myśli przewodniej, jakiego dawniej nie było?

— Rzecz to prosta ale cóż z tego wynika?

— Szukanie oto nowej myśli, gdy stara nie wystarcza. W tem szukaniu każdego na swoją rękę, musi być rozproszenie i nieład, muszą błąkać się jednostki, nim wyrobi się myśl jasna dla wszystkich zrozumiała, myśl która wszystkim za kierunek w życiu i pracy posłuży. Z tego zrozumiecie, dla czego, mając odwagę, fachowe wykształcenie, i odpowiednie środki, umieliście postąpić naprzód w swej gospodarce, z tejże samej przyczyny wasi sąsiedzi, przy braku odwagi, fachowej wiedzy lub środków, trzymają się uparcie spróchniałej rutyny, albo nie widząc próchna w fundamencie, silą się wszystkimi sposobami na jej podtrzymanie, reperując nadaremnie dach i ściany. Inni nakoniec chcą wszystko od fundamentu przebudować, lecz biorą się do tego na chybił trafił, na jakoś to będzie, bez właściwej nauki, bez środków odpowiednich, bez wytrwałej odwagi. Macie więc w jednym przedmiocie tyle zamętu, tyle różności zdań w jednej parafii. Rzućcie myśl waszą na wszystkie potrzeby ludzkiego bytu, ileż w każdej przeciwności i mroku, ileż pracy przed nami by je na jaw wyświecić na tle jednakiej barwy! Pamiętamy wszyscy fakt z czasów naszego dzieciństwa; kiedy to cały zastęp klasyków uderzył na pierwszy promyk romantycznej poezji. Nawet z katedr, meze nauki i najpoczeiwszych chęci, ciskali kamienie pogardliwej ironii na wschodzącą gwiazdę geniusza nowej myśli. Tymczasem jeden z najpotężniejszych jej przeciwników (K. Ko-

zmian), instynktem poetycznej duszy, o czem innem myśląc, przed walką jeszcze napisał:

„Jak Arabi skwarem piekle,
Przeciw słońcu co je pali,
Miotają błaznierstwa wściekle:
Próżne wycia, marne wrzaski,
Wrą pod ich nogami piaski
Słońce posuwa się dalej.“

Przypomnijmy sobie że zgoda tem trudniejszą tu była, że na czele hufców klasycyzmu, stali szanowni mężowie niezaprzeczanej powagi i nauki. Do małego szyku nieznanych romantyków, łączyła się niesforna družyna płowych naśladowców. Pierwsi trzymali ogół w osłepieniu, przyjaciele drugich budzili go aby zamiast greckiego posagu, dać na wymianę wiązkę zwiedłych kwiatów, bez barwy i woni.

Mimo to wszystko, któż dzisiaj wzywa od muz natchnienia? kogo o śmierci bogów Olimpu przekonywać trzeba?

Gdy świat parą leci, niedługo już czekać by owe wekslarskie małżeństwa, skapstwa idyiotyczne i obłąkane marnotrawstwa zginęły; by zginęło wiele innych rzeczy, które dziś są jeszcze kwestyjami, a które czas rozwiąże niebawem.

— Szkoda że tego co tu mówimy nie słyszy mój szwagier. Zaczął i on swoją gospodarkę poprawiać a innych brała też ochota pójść za tym przykładem; atoli kilka niepowodzeń odjęło mu siły, posiwiął, zmarszczył się, i stracił energię. Podniosłeś go na czas jakiś panie Józefie, ale znowu podupadł a ludzie nawet mówią, że się nałóg doń przypłatał.

— Namówcie go, odpowiedział pan Józef, niech się przeniesie do Nadarzyna, który objął teraz po zmarłej ciotce. Dom znajdzie wygodniejszy, ogród wielki i ślicznie utrzymany, malownicze okolice, ziemię ukraińską choć zaniedbaną. Tu będzie miał nowe pole działalności, a co najważniejsza zobaczy gotowe już wzory postępu u światłych sąsiadów, z których najbliższym jest pan Oświecimski.

— Pan Trojan, to go znacie? Wielem onim słyszała, wtrąciła pani Mojska.

— Podczas moich wędrówek, wypadło i do pana Trojana zajechać. Na dziedzińcu spotkałem gospodarza domu, gdy z rydłem w ręku powracał z ogrodu. Po przywitaniu wprowadził mnie do pokoju, przedstawił żonie; przy niej dziątek jak maku, a wszystkie zdrowe, śliczne i wesole. Pokoiki nie wielkie ale tak czyste że aż miło patrzeć. Dziwna mnie błogość owiała, po godzinie jużem znał na wylot tych ludzi: skromny domek i jego mieszkańcy, to czyste zwierciadło, w którym się człek duszą i sercem przezielał z roskoszą.

Oboje państwo Oświecimscy pochodzili z bardzo dostatnich i światłych rodziców, co widać na nich od razu. Nie znać tam żalu po dostatkach, ani martwej rezygnacji, która się z biedą nabywa i biedzie ogłupieć daje; swobodni i weseli, patrzą rozumnie na obowiązki życia, pewni że obowiązkowi tym nigdy nie uchybią.

Szarugi losu rozwiały fundusze rodziców obojga Oświecimskich a szczęśliwym tylko trafem udało się ocalić mały folwarczek Nie wielicze, o dwunastu dymach. Pan Trojan

sprzedał z niego połowę a na reszcie zaprowadził postępowe rolnictwo. Lat piętnaście jak rozpoczął a rzekłbyś że to wyspa szczęśliwości, przeniesiona z Zachodu, i podług tutejszych potrzeb urządzona. Długu ani grosza, życie skromne lecz wygodne, gościnne, uczynne, pocziwie rachunkowe; bo na same książki i gazety do tysiąca złotych wydawać mogą. Wasz szwagier panie Procie, znajdzie tam jeszcze parę innych godnych wzorów to go ożywi, i doda sił do dalszej pracy...

— Bóg zapłać za projekt pocziwy, postaram się wyciągnąć go do Nadarzyna. Ba jam gotów sam tam co rychlej pojechać, aby się czego nowego nauczyć, i szwagrowi niesłyszane lecz widziane dziwy powtórzyć dla lepszej zachęty.

— I co go tak złamać mogło, zapytała pani Senadworska, znałam go młodzieńcem, a wiele wtedy obiecywał...

— Więcej oto nań włożono niż był dźwignąć w stanie, naszamotoł się i upadł. Nakładziono mu w głowę i nauki i artyzmu, uwierzył że ma rozum, jał się pracy, kilka klęsk kolejnych złamały w nim ducha, o którym i rodzice, i guwernerzy i on sam nie pamiętał. Masz więc dziś człowieka, w którym parobka zepsuli i księdza nie zrobili. Pocziwe serce a w duszy echa dawnych marzeń i dążeń, zbudzić go jednakże jeszcze mogą w pośród ludzi do życia

— Tem pewniej że obok pod ręką zobaczy żywych trupów, smutne wzory gnuśności i ciemności, z którymi nie zejdzie się na żadnej drodze, jako człowiek lepszego wychowania.

O lekką milkę od Nadarzyna zajechałem do pewnego dworu a obdarta służa wyszła na spotkanie moje przed ganek i powiedziawszy że są panowie uciekli z powrotem, a gdy m le dwo płaszczy zrzucił, wypadła znowu z piskliwym oświadczeniem, że: panów nie ma w domu. Kazałem powiedzieć żem jako urzędnik przyjechał po służbie i bez ceremonii wchodzić do pokoju.

Chłodno tu i pusto, a gospodarz kwaśny przyjmuje mnie obojętnie nad wyraz. Gdy półgębkiem odpowiada na pytania moje, wpada para podrostków; jeden w odwiecznym fraku z połami do podłogi, drugi w surducie jakimś bardzo długim i staroświeckim, obaj podobni do pana Nicefora. Jednego nazywał ojciec Furfusiem, drugiego Cyryjasiem. Zobaczywszy mnie zemknęli obaj co do ducha. Widząc że po przyjacielsku nie wiele tu zrobić potrafię, szorstko oświadczam żem jest kuratorem magazynów włościańskich, i proszę o pofatygowanie się ze mną do spichrzów. Zaświeciły zaraz szklane oczy pana Nicefora, udobruchał się i wygrzecznił, zacierał ręce, wrzeszczał aby co prędzej nakrywać do stołu i poszedł za mną do magazynu. Ani ma się rozumieć nie znalazłem połowy zboża, a to co było stęchłe było i nieczyste. Po krótkim przeglądzie wracamy a tu czeka nas już sama pani naprędce wykrygowana, powitała mnie istnym gradem przesadzonych grzeczności narzekając na ciężkie czasy, obgadując wszystkich z kolei sąsiadów.

Nareszcie waza na stole i siadamy; obiadek przecież bardzo skąpy a tu jak na złość wileczy mnie napadł apetyt. Trzeba było jednak poprzestać na tem co dali i nasłuchać

się następnie przeprosin gosposi skarżącej się na lenistwo i nieumiejętność kucharki, na łagodność męża, co nie umie rygoru w domu utrzymać.

Po obiedzie poszedłem do ogrodu, w którym także jak w całym domu ład i skład nie było a od wałęsającego się tu żydka, rozmaitych nadawiały się szczegółów o panu Niceforze. Szczegółów tych powtarzać nie warto, bo życiorys pana Nicefora to rzecz dosyć zwyczajna. Za młodu służywał po kawalerskich dworach i uciulał sporo grosiwa; potem dodrapał się szlachectwa i odebrał wraz z siostrą niekoniecznie przynależną im sukcesyją; nareszcie ożenił się ze starą panną niewiedomego pochodzenia, ale wielce doświadczoną w krętych drogach mętnego żywota, nakoniec nabyli wioskę i kuli pieniądze; ludzie zaś, chociaż śmieli się i gardzili niemi po cichu, szanowali w nich wyrazieli krociowego majątku, dali im prawo myśleć że dobrze postępują, skoro równe każdemu mają miejsce w towarzystwie. Bóg z nimi, zostawmy ich w pokoju. Ale teraz wam powiem gdzieś popadł wyjechawszy od państwa Niceforów.

Z kolei otóż moich wizyt, znalazłem się we dworze państwa Hedekranców. Zrewidowałem tu magazyn włościański, i ucieszony doskonałym porządkiem, chciałem ruszyć na noc do niedalekiej wsi mego krewnego, ale gospodarz ani mi o tem mówić pozwolił. Przy wieczery poznałem całą rodzinę: żonę, trzy córeczki podlotki, dwóch małych synków, przy nich dwie bony, niemka i francuska, guwerner angliki guwernantka szwajcarka. O dziesiątej jużśmy się rozeszli na spoczynek bo gospodarz rano wstaje. Pokój mój znalazłem eleganckim co się nazywa, i łóżko w nim czyste, wygodne, kanapa i krzesła sprężynowe, na stoliku srebrna taca, na niej wyborna woda i kilka fiaszek różnych soków, papierosy i cygara i turecka fajka z antypką i doskonały tytoń, ba i biurko z całym piśmiennym przyborem, zarzucone ostatnimi numerami dzienników angielskich, francuskich i niemieckich. Oprócz ilustracji francuskiej, wszystkie pisma należały do specjalnych w przedmiocie rolnictwa, nauk przyrodniczych, przemysłu i handlu. d. c. n.

NASZE PODRĘCZNIKI

do nauki historii powszechnej.

(Dokończenie).

Nie każdemu może wiadomo, że ostatnimi czasy we Lwowie ukazały się dwa podręczniki do historii powszechnej pióra p. Benoniego. Wydane w Galicyi mniej mogą być znane publiczności naszej. Dla tego też nie będzie może zbyt zbytecznem zwrócić na nieuwagę, tem bardziej, że—powiedzmy to z góry, wartością swoją na to zasługują. Jeden z nich, pod tytułem „Krótki rys geografii i historii powszechnej. Część I. Świat starożytny,“ przeznaczył autor do użytku w szkołach niższych. Zadaniem więc tej książeczki jest obznajmić młode pokolenie z główniejszymi wydarzeniami

dziejowemi. Ma tedy zastąpić dotychczas używane podręczniki, a zyska powodzenie i uznanie o tyle, o ile potrafił jej autor trochę szczęśliwiej od poprzedników swoich dotrzymać wiary zasadzie, którą przyjmowali za hasło i oni, lecz w wykonaniu niedopisały im siły. Pan B., jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w znacznej części zarzutu tego obawiać się nie potrzebuje. Umiejętność w wyborze faktów uderza od samego początku, a pewna wyrazistość rysów, skupiająca uwagę na główniejszych wydarzeniach i osobach, nadaje opowiadaniu barwność i ożywienie. Nie wpada w oschłe wyliczanie faktów, jak to znajdujemy np. w dziełku p. Skrzypińskiego, nie rozplywa się w bezbarwnych komunałach, jakie cechują prace Zdanowicza, nie jest przy tem zwięzły aż do lakonizmu jak Weber lub Pütz. Słowem, chociaż często niezbyt szczęśliwie, starał się jednak utrzymać p. B. na stanowisku, jakie zająć postanowił i jakie zająć był powinien. W gromadzeniu szczegółów nie zbyt gorliwy, układa je tak zręcznie, iż nie pozbawia nauczyciela możliwości uzupełniania ich w razie potrzeby, chociaż w niektórych miejscach, zdaniem naszym, niepotrzebnie przytacza jakieś nazwisko; niedogodność tę wszakże łatwo usunąć. W ogóle, książeczka w sposobie wykładu udatnie zastosowana do umysłów młodocianych, spodziewamy się, że z wielkiem da się użyć powodzeniem i korzyścią. Jeden tylko okres *cesarstwa rzymskiego* przedstawia się dosyć nieszczególnie i mimowolnie przypomina Zdanowicza. Czuł to p. B., skoro się tłumaczy, że przy wykładzie dziejów średniowiecznych uzupełni go nauczyciel. Nie wiemy, co prawda, w jaki sposób zamierza autor to dopełnienie skutecznie; w każdym razie nie spodziewamy się aby mógł to uczynić szczęśliwie. Dopełnienie będzie możliwe o tyle, o ile dzieje cesarstwa wiążą się z dziejami wędrowek narodów; lecz to, co ma interes dla dziejów tylko rzymskich, w części 1-ej należało mniej zwięźle przedstawić. Sądzymy, że lepiej było pominać imiona niektórych cesarzów, a natomiast wyraziściej oddać rysami takiego np. Oktawiana-Augusta, Nerona, Trajana, Konstantyna W. i kilku innych. Tymczasem wątpliwe należy, czy 5 stronie, na których p. B. wyłożył dzieje cesarstwa, mogą wystarczyć choćby w połowie tylko. Z drugiej strony, zarzut tej samej natury możnaby uczynić i początkowym kartkom odnośnie do dziejów Asyryi i Babilonii, które napisane są nie powiemy sucho, lecz błado w porównaniu z dziejami Izraelitów. Większa harmonija i równowaga byłaby tutaj pożądana. Tę nieproporcjonalność równoważy natomiast wielka zasługa w metodzie wykładu dziejów starożytnego Wschodu. Sposób *synchronistyczny* nadaje się do nich najlepiej; ustawiczne powstawanie i znikanie różnych państw na Wschodzie, już z samej natury rzeczy wymaga współczesnego traktowania wydarzeń dziejowych. Punktem środkowym dla pana B. są dzieje Izraelitów. Ze stanowiska nauki jest to punkt wyjścia mniej uzasadniony, ale jak dla instrukcyi początkowej bardzo dobrze obrany i cały plan nie mniej szczęśliwie przeprowadzony. Mamy tedy pierwszy oryginalny podręcznik, traktujący dzieje starożytne według

metody synchronistycznej. Zdanowicz jest mu stanowczo przeciwny; to samo inni. Jeden tylko Welter przeniósł ją nad etnograficzną z tego względu uważamy za właściwe na tem miejscu poświęcić kilka uwag jego „Dziejom powszechnym skróconym“, o których dotychczas nie mówiliśmy wcale. Rozmiarami dziełko to, przełożone na polski język przez Sawczyńskiego, powinno się równać „Krótkiemu rysowi“ Benoniego; sposób traktowania przedmiotu także ten sam, a nawet przy bliższem porównaniu trudno jest orzec, czyja praca jest lepsza. Te miejsca, któreśmy w „Krótkim rysie“ znaleźli słabszymi, szczęśliwiej opracował Welter, nie uniknął wszakże usterek tego samego rodzaju; tak np. znaczenie osadników azjatyckich w Grecyi nie uwydatnione; szczegóły o Fufecyaszu niepotrzebne; o trybunach wojсковых z władzą konsularną należało pominąć; boć to byli urzędnicy tylko czasowi. Nie wiemy jakiej metody trzymać się będzie p. B. w dalszych tomikach; to tylko powiemy, że jeżeli dla dziejów starożytnych zacytowane dziełko Weltera, nie ustępuje jego pracy, to w dalszych częściach już jest mniej zadawalniającą przeprowadzone. Przy skracaniu Welter nie tak często jak w swojej większej „Historii powszechnej“ przeskakuje z jednego miejsca na drugie; z tej tedy strony skrót zyskał, ale nie nie zyskał na harmonii i proporcjonalności. Dzieje Niemiec nie tylko, że stoją na pierwszym planie, co mniejsza, ale traktowane są zbyt szczegółowo, co gorsza. Tłómacz, który prawdopodobnie (oryginału nie znamy) uzupełniał dzieje Polski, powinien był, zdaniem naszym, znacznie skrócić historię Niemiec. Dla historii tedy średniowiecznej i nowożytnej „Historia powszechna skrócona“ Weltera, jest tak samo niepraktyczna jak i owa praca tegoż autora, o której mówiliśmy powyżej. Tutaj może tedy p. Benoni pozostać bez rywala, jeżeli pracy swojej w dalszym ciągu prowadzić nie zaniecha.

Wypowiadając zdanie swoje o dziełku pana B., nie możemy zamilczeć o jednej jeszcze usterce, która zresztą tak jak i kilka innych już wymienionych, z łatwością przy wykładzie może być usunięta. Mamy tu na myśli okres bohaterski Grecyi, któremu za wiele poświęcił autor miejsca, gromadząc prawie wszystkie głośniejsze podania; niektóre z nich można było pominąć, a lepiej byłoby natomiast wycieniować inne; np. podanie o czynach Herkulesa mogło nabrać więcej rysów charakterystycznych, gdyby p. B. nie był poprzestał na suchem ich wyliczeniu.

Cokolwiek zresztą możnaby zarzucić wymienionej pracy, nikt jej nie robi zarzutu nieumiejętnego wyboru i traktowania przedmiotu. P. Benoni, pamiętając, że pisze dla początkujących, nie zapomina wszakże i o tem, aby ich praca nie była zmarnowana dla przyszłości. Wybrane szczegóły mają swoją doniosłość naukową i jako takie zawsze stanowią będą faktyczną podstawę dalszej pracy na polu historycznym. Uczeń gdyby nawet z pewnym mozołem stał się panem materiału, nie będzie nigdy narzekał, że praca jego nie przyniosła mu korzyści. Przeciwnie, wyznać będzie zmuszony, że „Krótkiemu rysowi“ zawdzięcza bardzo wiele, chociaż to książeczka elementarna.

Jak wydaniem tej pracy dowiódł, zdaniem naszym, p. B., że i w dziełkach „dla początkujących“ można traktować historię dostępnie, a zarazem i naukowo, tak z drugiej strony, nie zapominał i o tem, aby na zasadzie nagromadzonego w niej materiału poprowadzić gruntowniejszą naukę dziejów. W tym celu niewątpliwie ułożył i obszerniejszy podręcznik, którego tytuł: „Rys geografii i historii powszechnej, dla wyższych klas szkół średnich i do nauki prywatnej“, wskazuje, że zmierza już do gruntowniejszej wiedzy. Stanowcza opinia o tej pracy p. B. byłaby przedwczesna, gdyż wydane dotychczas zeszyty nie obejmują całości dziejów nawet starożytnych. Tyle wszakże powiedzieć o niej można, że zalety, które cechują „Krótki rys“ znajdujemy i tutaj. Ta sama umiejętność grupowania wypadków, ta sama łączność i przejrzystość, trafne cieniowanie szczegółów ze względu na ich doniosłość dziejową, oto główne zalety samej metody wykładu. Nie wszędzie, co prawda, jest autor jednakowo szczęśliwy. Pierwsze lata istnienia rzeczypospolitej rzymskiej wyszły dosyć nieudatnie, a mianowicie nie potrzebne są tu drobiazgowo szczegóły, odnoszące się do administracyjnego podziału kraju i inne, należące raczej do nauki starożytności, niż do właściwej historii. Cały ustęp przybrał skutkiem tego cechę zbyt specjalną i oschłą, ale już od początku walki plebejuszów z patrycjuszami jedyny i barwny sposób opowiadania odzyskuje swe prawa i urywa się wraz z ostatnią stronicią ostatniego jak dotychczas zeszytu, na zrównaniu praw stanowych.

Jeżeli w ogóle przyznać należy panu B. wielką umiejętność systematycznego i w miarę treściwego wykładu, bez uszczerbku dla samego przedmiotu, to dzieje Grecyi stanowią szczyt tej doskonałości, co za tem większą uważać należy zasługę, że ta właśnie część dziejów starożytnych dla braku stałego punktu ciężenia, największą przedstawia trudność do pokonania. Żaden autor podręcznika, o ile wiemy, nie wybrnął z tego zamętu tak szczęśliwie jak p. Benoni.

Tyle co do sposobu wykładu w rzeczonym „Rysie“. Aby wszakże dać jakie takie wyobrażenie o jego stanowisku naukowem, zauważymy, że p. B. na wzór podręczników zagranicznych uwzględnił i te strony życia dziejowego, które dopiero nowszymi czasami zaczęto wprowadzać do książek podręcznych. Znajdujemy tedy w jego „Rysie“ przy dziejach politycznych każdego narodu treściwy przegląd tego, co w ogólności nazywamy cywilizacją. Nie powiemy, aby to był obraz dokładny; lecz z drugiej strony, trudno wymagać czegoś więcej od książki, przeznaczonej do użytku w średnich zakładach naukowych.

Moglibyśmy natomiast wymagać, nie od p. B., ale od wszystkich w ogólności autorów książek podręcznych do nauki historii, aby cały ten dział życia dziejowego bardziej organicznie łączyli z opisem wydarzeń politycznych. Jesteśmy przekonani, że dotychczasowa metoda w tej mierze chybia zupełnie celu. Raz, że usuwa go niejako na plan drugorzędny i przedstawia jako rzecz dodatkową; powtóre, zrywa wszelki stosunek wzajemnej zależności pomiędzy dziejami politycznymi

i dziejami uspołecznienia pewnego narodu. Tymczasem wyrażony powyżej stosunek zależności obu tych sfer życia narodowego należałoby raczej uwydatnić, aniżeli osłabić. Obie części zyskałyby nie tylko na zrozumiałości i organiczności, ale zarazem nabrałyby większej wyrazistości i tak zwana cywilizacja i jej obraz, chociaż tylko w głównych podany rysach, nie przedstawiałby kupy licznych szczegółów, które razem wzięte rzucają prędzej fałszywe lub niewyraźne światło na cywilizację narodu, gdyż przy tej metodzie trudno zachować względy chronologiczne, a tym sposobem ściera się z nich wszelkie znamię czasu i wieku.

Nie robimy z tej okoliczności zarzutu książce p. B.; chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę tych, którzy piszą podręczniki historyczne dla dojrzałszej młodzieży, aby przynajmniej w części, o ile to jest możliwe, uwzględniali nowsze wymagania nauki. Dotychczas oryginalne prace nasze nie podejmowały żadnych w tej mierze usiłowań, wyjąwszy może Poplińskiego, który zresztą poprzestaje na bardzo skąpych okrucach, sprawom polityki zewnętrznej najwięcej miejsca poświęciwszy. Do pracy p. B. uwagi tej, pominąwszy wyżej wskazaną niedogodność, zastosować nie można. Przeciwnie, autor „Rysu“ stara się utrzymać na poziomie naukowym i uwzględnia nawet najnowsze wyniki badań, chociaż, niestety! nie wszędzie. Dzieje Rzymu stoją pod tym względem najwyżej. Mniej natomiast zostały uwzględnione najnowsze zdobycze *oryentalistów*. Są co w nich prawda, szczegóły dotychczas poruszone a nie rozstrzygnięte; mógł je tedy autor zignorować; ale są i takie, które stały się pewnikami, a te należało uwzględnić. Najmniej się troszczył p. B. o dzieje Mezopotamii; znajdujemy w nich błędną chronologię i mylnie podane fakty. Tak np. spotykamy się tu z Sardanapalem¹⁾ (czy nie Salmanasarem), który zdobył Samaryję; chociaż dzisiaj jest rzeczą dowiedzioną, że podboju królestwa Izraelskiego dokonał Sarynkon, następca Salmanasara, a tymczasem jako następca tego ostatniego figuruje w „Rysie“ Sancheryb; wstąpił on na tron dopiero w r. 704, a więc nie mógł w 711 ponieść klęski pod Jerozolimą. Pominąwszy zresztą pojedyncze szczegóły mielibyśmy większe prawo wymagać poświęcenia kilku przynajmniej wierszy ludności turańskiej i chamskiej, które, jak dzisiaj wiadomo, były niejako podściskiem dziejowem dla szczepu semickiego, a nawet przekazały mu nabytki swojej cywilizacji. P. Benoniemu znane były prace *oryentalistów* takich, jak np. Lenormant, którego często cytuję. Dla jakich tedy względów zamilczał o etnicznej różnorodności większej części narodów starożytnego Wschodu, nie wiemy. A rzecz warta była uwzględnienia!

Edw. Dz. Gr.

¹⁾ Jest to zapewne „lapsus calami“, których kilka można napotkać i w „Krótkim rysie“, np. że Cyncynat pobił Wolsków (ma być Ekwów) i t. p.

ŻYCIE I OBYCZAJE ROŚLIN.

Usprawiedliwienie tytułu nadanego artykułowi. — Przymioty sosny i drzew iglastych. — Modrzew. — Cis i cyprys towarzysze mogił. — Cedry Libanu. — Welingtonia. — Drzewa palmowe. — Dwadzieścia tysięcy kwiatów na jednym krzewie. — Drapieżne kaktusy. — Duszczele roślinni. — Dystylatorki wody pod zwrotnikami. — Wallisneryja. — Potworny wygląd Welwiczii. — Czulek wstydlivy i jego obyczaje. — Ruchy wahadlika Bengalskiego. — Żywa pułapka na muchy. — Grzyby i pleśnie. — Bezecne obyczaje roślin pasożytnych. — Rehabilitacja roślin źródłowych.

Osobliwszy tytuł artykułu naukowego, powie sobie w duchu lub głośno czytelnik, ruszając ramionami. Nie słyszałem dotąd, orzeknie drugi, aby istniały jakie obyczaje wśród roślin; no, dzisiejsi naturaliści i ci krzewiciele nauk przyrodniczych, chorują oczywiście na wyobraźnię pełną urojeń. Ba, dorzuci trzeci krytyk, że autor napisał gruby tom o *życiu i obyczajach zwierząt*, to już mu zachciało się toż samo przykroić do roślin, ciekawym wielce jak się z tego zadania wywiąże, jak tytuł usprawiedliwi. Owóż w istocie zamierzam usprawiedliwić tytuł, tylko proszę was mili czytelnicy, abyście przedwcześnie nie ruszali ramionami i chłodniej oceniać raczyli rojenia mojej wyobraźni, zwracając nieco uwagi na to, co w obronie mojej pracy, a tem samem tytułu zaraz przytoczę. A więc przedewszystkiem zapytuję panów krytyków, czy nie dostrzegają życia w roślinie? Czy nie widzą corocznie jak wszelki krzew kiełkuje, wzrasta, pokrywa się kwieciami, wydaje owoc, jednym słowem rodzi się, istnieje i umiera? Zdaje się że nikt temu nie zaprzeczy, bo czyż można zaprzeczać rzeczywistości. Z kolei niech mi szanowni recenzenci wskażą, jak mam nazywać charakterystyczne cechy wielu a wielu roślin, cechy określające niezaprzeczenie to, co zwykle nazywamy obyczajem? W świecie tak zwierzęcym jak i roślinnym, istnieją pewne prawa życia, pewne wybitne własności, przejawiające się dodatnio lub ujemnie. Nikt zaprzeczyć nie może, że rośliny zbożowe są wielce użytecznymi dla człowieka, że pszenica, żyto, jęczmień, gryka, służą nam za pokarm zdrowy i posilny. Z drugiej strony, nie mamże prawa nazwać pokrzywy złością; blekotu, cykuty, ostromleczka, kulczyby czyli tak zwanego wroniego oka, trucicielami? Czyż rośliny powojowate, owe lyjany w których uścisku niszczyje najpiękniejsze drzewo, ba, mało powiedzieć niszczyje gdyż całkiem usycha i zamiera, czy powtarzamy te lyjany nie reprezentują nam wybitnego charakteru zbójckiego? Nie wolnoż mi nazwać dębu wspaniałym, topoli wyniosłą, cyprysu smutnym, kaktusa złośliwym, róży zalotnicą, fiołka przedstawicielem wdzięku i skromności? Ha, jeżeli na to wszystko nie pozwalasz mi surowy czytelniku, to wymyślże sobie jaki inny słownik; zabroń muchołówce chwytac owady, czulkowi odbierać wrażenia, nepencie napełniać swą czarę przejrzystą wodą, bżom rozlewać w powietrzu woń balsamiczną. Zabroń roślinom żyć, leczyć nas, truć lub kaleczyć, pozbaw ich jeżeli możesz życia, blasku, barw i woni. Nie uznawaj w nich, boż to ci wolno, żadnych przymiotów, a wadami ich pogardzaj, lecz w takim razie cóż się okaże? Oto Arystarchu, pocziwcze, to tylko, że twoje

oczy nie dostrzegają tego wszystkiego w przyrodzie, że nie mogłeś czy nie chciałeś zgłębiać jej zjawisk, że wreszcie dalekim jesteś od myśli aby świat roślinny miał jakiegokolwiek łączne ogniwa ze zwierzęcym. A jednak najpoważniejsi naszych czasów przyrodnicy, uznali już tę prawdę i według nich nie ma granicy oddzielającej oba te światy... W rzeczy samej istnieją w naturze takie organizmy, które dotąd są zagadkowymi, i nie wiedzą naturaliści czy je zaliczyć do flory czy też do fauny. Z tych uwag wypływa, że nie popełniam wcale herezyi potracając o *obyczaje roślin*, i sądzę że usprawiedliwię tytuł, jeżeli czytelnik zechce przejść od nagłówka do treści.

Chcąc poznać charakterystykę drzew, potrzeba przenieść się na wieś, w lasy, gdzie krzewią się wspaniałe reprezentanty flory, imponujące człowiekowi kolosalnym wzrostem, bogatym liściem, i osłaniające go dobroczynnym cieniem. Dęby są majestatyczne, ba toż to króle i książęta leśnej roślinności, dziś jednak rozrastają się u nas liczniej drzewa iglaste, z wyjątkiem może Podola i Wołynia, gdzie po staremu panują lasy liścienne, gdzie sosna, jodła, modrzew, a rzadziej już cis się krzewi.

Nasze drzewa iglaste odróżniają się od siebie układem igieł. Sosna ma igły dwucalowe parzyste, to jest po dwie razem objęte pochwą, jodła posiada igły jednocalowe, płaskie pod spodem białymi paskami oznaczone, w modrzewiu znajdujemy już całe pęczki igieł, które corocznie znikają, czego nie napotykamy u innych drzew szyszkowych.

Powiedzielibyśmy że sosna wyobraża niewzruszoną powagę i spokój, które nadają pewną fizjognomikę naszym lasom. Sosna wyrasta piramidalnie lub w postaci parasola, skromność i użyteczność są głównymi jej przymiotami. Powtarzam skromność, gdyż nigdy nie mizdzy się drzącymi listkami jak osiczyzna, wierzbka lub topola, chociaż nęci wzrok ku sobie skromnisią, to jednak nie bez pewnej zalotności, wdzięk ma naturalny, nie potrzebuje więc błyszczeć sztucznymi czarami. Już to w ogóle drzewa iglaste czyli szyszkowe, są poważne, marzące, zadumane, niekiedy bardzo smutnie, czego mamy przykład na cisach i cyprysach. Do wspaniałości sosna zdaje się nie mieć żadnej pretensyi, nie goniąc wszakże za efektem, przejawia przeciwieństwo swą postać jakby przekonanie o własnej wartości. Ta wartość w rzeczy samej nie mała, toż człowiek korzysta z jej produktów: z terpentyny, żywicy, smoły, benzyny, z kwasu fenilowego i t. p. a przemysł i medycyna znajdują w niej dzielną pomocnicę. Już w starożytności oceniano te przymioty sosny, trzon jej posługiwał do wyrobu masztów, a żywica zabezpieczała statki od zepsucia w wodzie. Kronika zapisana na kartach botaniki powiada, że statek sosnowy pozostając przez 1500 lat w topielach morza, po wydobyciu go okazał się całkiem nieuszkodzony, co zawdzięczał bez wątpienia żywicy.

Zanim ludzie zastosowali łój i oliwę do oświeślenia, służyły im pochodnie oblepiane żywicą sosnową, jakiej jeszcze gdzieśgdzie w tym celu dziś używają, jak naprzykład

w królestwie Neapolitańskim. Żywica wybornie zabezpiecza drzewo pozostawiać mające przez długi czas w wodzie, a ta jej własność w żegludze morskiej i rzecznej jest nieoceniona.

Z licznych gatunków sosny zasługuje tu na wymienienie: *Sosna żywiczna* zwana też *moską*, krzewiąca się na południu Europy, *sosna leśna* właściwa krajom północnym, *korsykańska* dochodząca niepospolitej wysokości, *Weymoutha*, przewieziona z Ameryki przez lorda angielskiego tegoż nazwiska, na koniec *sosna włoska*, rozłożysta, w postaci parasola który jej głowę uwieńcza.

Wdzięk i siła w połączeniu z powagą, są cechami charakterystycznymi sosny i świerku. W głębi lasów potrzeba podziwiać te malownicze drzewa, dochodzące często 120 stóp pol. wysokości. Sosny są ozdobą i bogactwem Rosyi i Polski, Szwecyi i Norwegii, Wogezów, Pirenejów, Alp i Czarne go lasu. Wpatrując się w stare świerki, tak przedziwnie odtwarzane przez Calama, toniemy w marzeniach; widok wspaniałych świerków karpaccich wprowadza nas w zachwyt.

Z pośród drzew szyszkowych, jeden tylko modrzew, corocznie w porze zimowej traci igły. Drzewo to reprezentuje pewną dzikość; krzewi się często samotnie na wyżynach, nieprzystępnych jodłom, w górach, przedziwnie się też rozrasta w klimatach umiarkowanych. Modrzew dochodzi niekiedy olbrzymich rozmiarów, dosięga 18 stóp polskich grubości. Słynna belka modrzewiowa przywieziona do Rzymu z polecenia Tyberyjusza, użytą była przy budowie amfiteatru Nerona. Długość jej przechodziła sto dziesięć stóp, a obwód wynosił dwadzieścia stóp, już po ociosaniu. Nie ma żadnej wątpliwości, że z pośród drzew iglastych modrzew daje najtrwalszy materiał budowlany. W dawnej Polsce dwory i dworki szlacheckie stawiano z tego drzewa, które przetrwało huragany czasu, składając wymowne świadectwo swej wytrwałości. Kronika botaniczna podaje wiadomość o okręcie zatopionym w morzu przed tysiącem lat, którego wszystkie deski modrzewiowe nie przedstawiały najmniejszego uszkodzenia; co więcej społy się z sobą tak silnie, że zaledwie je mogła odłaczyć siekiera.

Nierównie mniej krępkim jest cis z ciemno-zielonym liściem mięsistym, nigdy nie odpadającym. W górach europejskich, w północnej Azji i Ameryce, jest on bardzo pospolity. Cis nie wytwarza wcale soków żywicznych, a tem samem nie wydaje żadnej woni, właściwej wszystkim innym drzewom szyszkowym. Liść jego trujący, wygląd smutny, zwykłym też jest towarzyszem mogił. Drzewo to utracę niekiedy swój charakter w skutek niedorzecznej interwencji noża ogrodniczego, k'woli upodobaniom człowieka. — W ubiegłym stuleciu karykaturowano te drzewa w sposób najpocieszniejszy, czyniąc zadość fantastycznej modzie.

Z kolei przedstawia się nam smutny cyprys, drzewo będące symbolem smutku, sąsiadem grobów, na których się chętnie krzewi. Cyprys piramidalny pochodzi ze Wschodu, wzrasta głównie na wyspach archipelagu greckie-

go, żyje długo i służy wybornie do budowy czółen zwanych *pirogami*.

Słynnym jest cyprysmeksykański w Santa-Maria, którego pień ma sto czterdzieści stóp w obwodzie. Wieść niesie, że pod tym olbrzymem armija Ferdynanda Korteza wyruszająca na zdobycie Meksyku, znalazła schronienie przed burzą.

Egipcjanie budowali z cyprysu okręty i skrzynie, służące do przechowywania mumij. Pierwotne drzwi ś. Piotra w Rzymie, z tegoż drzewa wyrobione, przetrwały tysiąc sto lat bez uszkodzenia.

Ileż wspomnień obudza w nas cedr libański! Niegdyś za czasów Salomona, na tej wyniosłej górze drzew tych było niezliczone mnóstwo, dziś wieńczy stare jej czoło zaledwie siedm okazów, pochyłonych od starości, skołatanych od huraganów. Przed wiekiem jeszcze jakiś wędrowiec naliczył tam do stu tych drzew, z których dziś pozostały zaledwie szczątki. Natomiast przepyszne lasy cedrowe znajdujemy w Azji Mniejszej, gdzie mieszają się z dębami, jodłami, cisami, drzewami mirtowemi, laurowemi i oliwnemi, które wszakże pod względem piękności muszą im ustępować pierwszeństwa. Cedr biorąc od jodły gałęzie poziomo wygięte, od sosny włoskiej szeroką koronę liściem uwieńczoną, łączy w sobie surową powagę drzew szyszkowych, z okazałą majestatycznością dębów; silnie wygięte jego gałęzie, rysują się na horyzoncie dziwacznie, fantastycznie, lecz zarazem i malowniczo.

Cedr należy do wyniosłych drzew w przyrodzie, pień jego dochodzi 130 do 140 stóp pols., wszystko w nim cechuje się: pień, barki i głowa. Jedno z tych drzew użyte było do budowy galery Demetriusza, liczącej jedenaście rzędów wiosek, a sto trzydzieści stóp długiej. Marnotrawny Kaligula budował z cedrów słynne okręty liburnijskie, mieszczące w sobie portyki, pokoje kąpielowe, komnaty wysadzone drzewami pełnymi owoców. — Okręty te całe były zarysowane przepyszniemi malowidłami, wykładane złotem i drogiemi kamieniami.

Potwornej rzec można wielkości dochodzi Wellingtonia, zwaną też *drzewem mamutowem*, w obec niej olbrzymie nawet cedry wydają się karłami.

Owego mamuta roślinnego wykrył w Kalifornii na Sierra-Newadzie, w bliskości rzeki ś. Stanisława i ś. Antoniego, przyrodnik Lobb. Wysokość Wellingtonii dosięga 400 stóp pols., korę ma grubą 18-calową, koloru cynamonowego, tkankę barwy czerwonej. Drzewo to żyć może 30 lub 40 wieków, jak o tem przekonywają jej słoje współśrodkowe. W San Francisco ścięto jedną taką Wellingtonię, wydrążono wewnątrz i urządzono w niej pokój wybity kobiercami, poczem wniesiono krzesła i fortepian. Czterdzieści osób bawić się mogło doskonale w tem zaimprowizowanym pomieszkaniu. Mamut roślinny do połowy swej wysokości ogołoconym jest całkiem z liści, które natomiast już wyżej przyodziewają bogato grube i rozłożyste jego gałęzie.

Z podanej tu charakterystyki i własności drzew szyszkowych, możemy widzieć jawnie, nieporównaną ich użyteczność. Są one repre-

zentantami powagi, siły i wdzięku, nie popełniają żadnych nadużyć, jak niektóre inne rośliny, których korzenie chłonąc wilgoć z ziemi, głuszą tem samem życie krzewów w szerokim do koła promieniu. Obyczajom też ich nie możemy zarzucić niezdolnego. Zwróćmy się myślą ku strefom gorącym, spotkamy tam świat roślinny w całkiem odmienne przyodzian szaty.

Pod ognistym niebem Afryki i w całym paśmie zwrotnikowym, wzrasta palma, wytworzenia niepospolita, ozdabiająca swe czoło, pióropuszem z liści pierzastych. Arab powiada w właściwym mu obrazowym języku, że palma *ma głowę w ogniu a nogi w wodzie*, i nie można temu określeniu odmawiać trafności, gdyż drzewo to w istocie potrzebuje nie tylko upałów słonecznych, ale nadto gruntu wilgotnego. Z tego też względu w klimacie którego średnia temperatura jest niższą od 20 stopni Celsjusza, palma krzewić się nie może.

Palma poważana jest wielce na Wschodzie, i to jej poszanowanie jest najzupełniej usprawiedliwione; każda bowiem cząstka włókna palmy, przynosi korzyść człowiekowi. Twarda niezmiennie tkanka służy wybornie do wyrobu strzał, owoc daje smaczne pożywienie, tak zwane *mleko kokosowe*, z łupin kokosu wyrabiają sznury i nici, z rdzenia palmy sagowej, otrzymują kaszę zwaną *sago*, z soku palmy krajowcy pozyskują wino, cukier i alkohol, a z wytlóczyń ziarna, olej, mydło i masło. Palma woskowa daje wosk, katechowa dostarcza materii garbnikowej zwanej *katechu*. Sok wreszcie sączący się z kory, dostarcza leku pomocnego w wielu chorobach. Do najpiękniejszych gatunków tego drzewa, należy niezaprzeczenie *palma daktylowa*. Łuszczykowata jej łodyga wznosi się do wysokości 60 lub 80 stóp. Głowę tego drzewa tworzy pęk liści pierzastych, dochodzących 10 lub 12 stóp pols., kwiat przedstawia się w postaci wspaniałego bukietu zwanego *kolbą*. W cztery lub pięć miesięcy po okwicie, owoce dochodzą zupełnej dojrzałości, tworzą grona z których każde waży od 20 do 40 funtów. W starożytności liście palmy poświęcano bohaterom, a w pierwszych wiekach chrześcijaństwa były one symbolami męczeństwa. W Afryce północnej palma tworzy przepyszne lasy, wraz z drzewami cytrynowemi, pomarańczowemi i granatowemi, które niby olbrzymie kadzielnice, wyziewają aromatyczne wonie, pod tem niebem wiecznie szafirowem. Z owoców tego drzewa starożytni otrzymywali miód zwany *daktylowym*, dziś z soku jego mają alkohol i wino. To otrzymuje się w bardzo prosty sposób. Gdy palma zestarzeje się i przestaje owoc wydawać, nacinają ją przy wierzchołku, a niżej zawieszają naczynie w które spływa płyn przedziwnego smaku. Z liści tej palmy wyrabiają koszyki, z włókna drzewnego sznury, nawet ze szczątków starych palm skorzystano, służą one za materiał opałów.

Palma sagowa krzewi się w podrównikowych krajach Afryki i Azji. Sago jest rdzeniem trzonu; stanowi ono pożywienie wzmacniające dla dzieci i starców. Palma kokosowa wydaje najpierw owoc zielonawy lub fioletowy, zawierający w sobie jądro twarde,

białe, obejmujące płyn mleczny bardzo smaczny. Nie możemy oceniać smaku tych owoców z gatunków przesyłanych Europie, gdyż zmieniają się one w bardzo krótkim czasie. Chcąc poznać ten przysmak, należy owoc spożywać na miejscu w porze jego dojrzałości; palma kokosowa kąpie się w palących promieniach słońca, liść jej daje cień, owoc pożywienie, włókien odzież. Czegoż więcej od niej pożądać?

Palma trzciniowa dosięga bajecznych wymiarów, długość jej dochodzi bowiem 500 stóp polskich; powtarzam długość nie zaś wysokość, gdyż roślina ta pełza po ziemi lub zawieszona się na drzewach, przerzucając się z jednego na drugie.

Niekiedy łodygi jej tworzą z liśćmi tak gęstą siatkę, że nawet owad przedrzeć się przez nią nie może. Drzewo to dostarcza trzciny do trzepania sukien, służy też do wyrobu sznurówek i wyplatania mebli.

Do rodziny tej, należy jeszcze osobliwszy krzew: *Koryf malabarski*, który przedstawia się w postaci olbrzymiego parasola zieleni, mieszczącego trzon wysmukły. Szerokość tego parasola dochodzi 5 stóp, a pod jego cieniem dwadzieścia osób może znaleźć osłonę od deszczu lub słońca. Koryf raz tylko w życiu owocuje. Gdy dojdzie poważnego wieku lat czterdziestu, w koronie jego wyrasta liść zwinięty w rożek z którego rozwija się drobnostka, *coś około dwudziestu tysięcy kwiatów*, tworzących olbrzymie skupienie. Z kwiatów tych występują owoce, którym potrzeba do dojrzenia aż czterestu miesięcy. Potem koryf wyczerpany z sił, wędnieje, usycha i zamiera. Można by go wówczas porównać do tej niebacznej młodzieży, którą szafarstwo nieogłędne sił, doprowadza do przedwczesnej starości.

Na rozpalonych piaskach stref zwrotnikowych, krzewić się może jedna tylko rodzina roślinna: *kaktusy* urągające upałom i huraganom.

Pospolicie rośliny do utrzymania swego bytu potrzebują koniecznie ciepła i wilgoci. W przesycionej mgłami atmosferze wieków geologicznych, rozradzały się licznie sygillarye, stygmarije, widłaki, skrzypy i paprocie, o których przepyszny rozwój, mogą nam dawać zaledwie słabe wyobrażenia, pokłady węgla dziś eksploatowanego w kopalniach. Nie podobnego nie istnieje w życiu kaktusów. Dziwne te krzewy, plenią się na piaskach jałowych, w rozpadlinach skał pozbawionych próchnicy, na ziemi prażonej przez dziewięć miesięcy prostopadle na nią padającymi promieniami słońca, co im nie przeszkadza bynajmniej wydzielać tak obfite soki, że z tego źródła czerpać mogą wodę tak podróżni jak nie mniej i dzikie zwierzęta.

W porze suszy, gdy życie gaśnie w pampasach spalonych od słońca, gdy aligatory zanurzają się w mule głębokich bagnisk, i w śnie pogrążone wyczekują deszczu, dziki osieł stałby się pastwą głodu, gdyby nie kaktus opatrnościowy. Zwierz twardem kopytem przebija mięsiste, kolezaste włókno kaktusa dyniowatego, i wysysa zeń płyn orzeźwiający.

Kaktusy we własnej swej tkance znajdują dostateczny zapas pożywienia, a nadto wodę nigdy nie parującą. Stąd też ogołocone są

z liści i gałęzi bocznych, z pomocą których inne rośliny wydzielają wodę w postaci pary. Osłonięte korą łukowatą prawie nieprzemakalną, złożoną z chrząstkowatych komórek, kaktusy nie pozwalają promieniom słonecznym przedzierać się do ich tkanki wewnętrznej.

Dziwaczyn jest wygląd kaktusów, wyniosłych na 40 lub 50 stóp, sztywnych, okurzonych, pokrytych kolecami i strzępami włoskowatymi. Jedne z nich posiadają niezliczone gałęzie krótkie i spłaszczone, drugie bywają pogięte w węzowate pierścienie, inne znowu wykoszlawione cudacko, podobne są do zwierząt drapieżnych, czyhających w zasadzce. Widząc z daleka te krzewy, rysujące się fantastycznie w perspektywie, wędrowiec strwożony, zatrzymuje się nie wiedząc czy dalej ma iść drogą, czy się cofnąć. Prawie wszystkie kaktusy obdarzone są straszliwymi kolecami, które im zastępują liście. Kolce te cienkie, łamliwe, kryją się w pękach włochałych lub w puchu jedwabistym. Drapieżne są obyczaje tych roślin: za dotknięciem choćby najmniejszym, wpijają się w skórę i w niej kruszą, wywołując w ciele człowieka czy zwierzęcia bolesne zapalenie. U niektórych kaktusów igły te są tak mocne i ostre, że nie raz przebijają bawołu, który w biegu niebacznie na nie wpadnie.

Z broni ich potrafił skorzystać człowiek; kolce posłużyły mu do budowy żywoptów. Takie szanse z kaktusów na wyspie ś. Krystofa urządzili Anglicy i Francuzi, w celu odgraniczenia swych posiadłości. d. n.

FELIKS MENDELSSOHN BARTHOLDY.

Kilka szczegółów z życia mistrza

przez
H. Pfeila.
przełożył z niemieckiego
F. Strauch.

Feliks Mendelssohn Bartholdy urodził się dnia 3 lutego 1809 r. w Hamburgu, gdzie był kupcem ojciec jego Abraham, syn filozofa. Muzykalna matka (Lea) udzielała chłopcu początki nauk muzyki na fortepianie. W r. 1812 rodzina Mendelssohnów przenieśli się do Berlina i tu młody Feliks do dziewiątego roku życia uczęszczał do szkoły elementarnej. Wybornego nauczyciela domowego miał w filologu Heysem, artystycznym zaś jego kształceniem, zajmowali się: L. Berger nauczyciel fortepianu i Karol Fryderyk Zelter wykładowca kompozycji. Oprócz tego wirtuozi Dronet, Boucher a później Moscheles, wywarli wpływ na muzyczny rozwój chłopca. Już w wrześniu 1820 r. niemając jeszcze skończonych lat 12 napisał Feliks w ciągu paru tygodni operę, do której dr. Kaspar tekst opracował. Za ledwo zaś w rok później napisał dwie inne opery i trzecią do połowy doprowadził. Niezależnie od tego przygotował cztero i pięciogłosowy psalm z wielką podwójną fugą dla akademii, sześć symfonii, kwartet na fortepian i smyczkowe instrumenta; kantatę, sześć fortepianowych fug, tudzież liczne sonaty i pieśni. Zelter nadzwyczajnymi postępami swego ucznia tak był uradowany, że w jesieni 1821 roku składając wizytę Goethemu, dwuna-

sto-letniego ucznia temi musłowy przedstawił: „Mojej Dorydziei mojemu najlepszemu uczniowi pragnę pokazać twoją twarz, nim zejdziesz z tego świata.“ O tej wizycie i pierwszej znakomitej próbie z jaką popisywał się Feliks w obec księcia poetów w Weimarze, tak mówi współczesny L. Rellstab: „Fortepijan był otworzony, świece stały na pulpicie, młody Mendelssohn miał grać. Przedewszystkiem zapytał Zeltera ku któremu synowskie miał przywiązanie, co by mu wybrać należało? „Zagraj to co umiesz i co ci nie będzie trudnem.“ odpowiedział nauczyciel. Po niejakiem namyśle zgodzono się żeby Feliks swobodnie fantazyjował, prosił on jednak znowu Zeltera o temat. Zelter więc usiadłszy przy fortepianie; sztywnymi swymi rękoma (miał kilka palców bezwładnych) wykonał bardzo prostą pieśń z *G-dur* w tryjolowych poruszeniach. Pieśń ta mogła mieć szesnaście taktów. Feliks powtórzył ją następnie nic nie przemieniając, ale przy tryjolowej figurze kilka razy obiema rękoma wprawił swe palce w kolej głównej figury, aby w niej mimowolnie się poruszały, a zaraz potem zaczął w najdziwniejszym allegro. Łagodna melodyja stała się burzliwą figurą którą brał to basem, to wyższym głosem i pieknymi kontrastami przeprowadził. Całe grono zebranych ogarnęło zdziwienie; mała rączka chłopca pracowała w massach tonów, opanowywała najtrudniejsze kombinacje; passażę toczyły się, perliły i wlatywały technicznie eterycznym; strumień harmonii lał się, zdumiewające kontrapunkty między niemi się rozwinęły; melodyja tylko mało była uwzględniona i mało przemawiała w tem burzliwym morzu dźwięków. Z taktem właściwym sobie już wtenczas, nie przeciągnął młody artysta swej gry za długo. Tem większe też było wrażenie i zapanowało milczenie głuche, gdy po energicznym poruszeniu akkordu zakończenia, zdjął ręce z klawiatury by im dać odpoczynek. Zelter był pierwszym który przerwał ciszę, odezwawszy się głośno: „No, pewno marzyłeś o Koboldzie i smokach; bo poszło raźnie i zamaszysto!“ Goethe pełen najgorętszej radości, uściśkał małego mistrza po przyjacielsku i żartobliwie wyrzekł: „To jeszcze nie, jeszcze się niezałatwiłeś! musisz nam coś więcej zagrać, zanim cię zupełnie wyzwolimy!“ „Cóż więc mam jeszcze zagrać,“ zapytał Feliks. Goethe wielkim był miłośnikiem fug Bacha; zażądał więc zagrania jednej z fug jego. Chłopiec jakkolwiek zupełnie nieprzygotowany, wyszedł i z tej próby zwycięsko. Radość Goethego wzrastała; żądał zagrania menuetu. „Czy mam wybrać najpiękniejszy jaki istnieje na świecie?“ zapytał młodzienc z błyszczącymi oczyma. „Dobrze, ale któryż to taki?“ Feliks zagrał menueta z *Don Juana*. Goethe stał ciągle przy instrumencie przysłuchując się, a radość jaśniała w rysach jego twarzy. Po menuecie poprosił o uwerturę z tejże samej opery; ale tej, mały gracz wręcz odmówił z uwagi, że nie daje się tak wykonać jak jest napisana, a zmieniać w niej nic nie można. Za to ofiarował uwerturę z *Figura*. Zaczął ją ze zdumiewającą lekkością ręki, pewnością, okrągłością i jasnością w passażach. Wykonywał przytem efekty orkiestrowe, dał poznać tyle odcieni w instru-

mentacyi przez połączone lub wyraźnie wydatnione głosy, że wrażenie było porywające. Goethe coraz więcej stawał się wesejszym, przyjaźniejszym, żartował i drażnił się z pełnym ducha i życia młodzieńcem. „Dotąd, rzekł, grałeś sztuki które dobrze znałeś, zobaczmy, czy potrafisz zagrać coś z tego, czego nie znasz, wystawię cię na próbę.“ Wyszedł i po kilku minutach wrócił z paką pisanych nut w rękę. „Oto, coś z mego zbioru rękopisów. Teraz próbować cię będziemy.... Czy potrafisz to odegrać?“ rzekł Goethe i położył na pulpicie kartę z napisanemi jasno, ale drobnymi nutami. Był to rękopis Mozarta. Feliks zapalił się radością zobaczywszy to nazwisko i zagrał od razu z całą pewnością siebie z karty niełatwego do czytania rękopisu. „To jest jeszcze nie, zawołał Goethe, to i inni czytać umieją. Teraz dam ci coś takiego, nad czem się zastanowisz; miejże się na ostrożności!“ Z tym żartobliwym tonem, wyciągnął inną kartę i położył ją na pulpicie. Wyglądała ona rzeczywiście oryginalnie, bo ledwo można było rozpoznać, czy to nuty czy też tylko linijowana, pobryzgana atramentem a w wielu miejscach poprzemazywana karta. Feliks na jej widok roześmiał się zdziwiony. „Jakże to jest napisane. Jakże to czytać?“ zawołał. Nagle jednak stał się poważnym, bo gdy Goethe rzekł:

„Zgadnijże też, kto to pisał?“ ozwał się już Zelter przypatrujący się z tyłu przez ramiona siedzącemu przy instrumencie chłopcu: „O! to pisał Beethoven. To można odrazu poznać. Pisz on zawsze patykami i rękawem zaciera!“ Owóż tedy, przy wymienieniu nazwiska *Beethovena*, Feliks stał się poważnym; ba jeszcze więcej niż poważnym. Świąte zdumienie czytać było można z jego twarzy, patrzył się z przejściem na manuskrypt i zachwyt jaśniał w jego rysach. Wszystko to trwało tylko kilka sekund; Goethe bowiem chciał ostrą graczowi zadać próbę i żadnego mu czasu do przygotowania się nie zostawić.

„Widzisz“ zawołał czy ci nie powiedziałem, że się zastanowisz; teraz probuj i pokaż co umiesz!“ Feliks zaraz grać zaczął. Była to prosta pieśń, ale żeby ją z wykreślonych na wpół wymazanych nut wydostać, potrzeba było rzadkiej biegłości i pewności rzutu oka. Przy pierwszym przegraniu śmiejąc się wskazywał często palcem Feliks właściwą nutę której trzeba było szukać w innem wcale miejscu, i niektóre pomyłki w uderzeniu, z przedkiem „nie tak“ poprawiał.

Potem ozwał się: „teraz przegram to panom“ i tym drugim razem ani mu jednej nie zbrakło nuty. „To jest Beethoven, zawołał raz jednego, gdy napotkał passaż melodyjny, który mu się zdawał znamionować właściwość artysty; to jest Beethoven, po tem poznałbym go wszędzie!“ Na tej próbie Goethe poprzestał, uważając ją za dostateczną. Ukrywał swą pochwałę pod drażniącym żartem, ale można było widzieć jak żywą uczuł radość z tryumfu chłopca. W jesieni przybył do Berlina słynny fortepianista i dał koncert, po ukończeniu którego, ku uczczeniu Hummela i Moschelesa, zebrało się małe grono w domu Mendelssohna. Naturalnie zajmowano się muzyką; Moscheles i Hummel odegrali parę podziwiania godnych sztuk. Pośród słuchaczy znaj-

dował się Feliks, który grę mistrzów z zapałem podśluchiwał.

Wtedy wstał stary Zelter i położywszy ręce na barkach młodego ucznia, rzekł: „Chodź Feliksie, pokaż teraz czego się nauczyłeś a pamiętaj nie zrób nam nauczycielom wstydu. Usiądź i graj co ci na myśl przyjdzie.“ Chociaż wszyscy obcy goście tej propozycji przytakiwali, oświadczył jednak Feliks stale i stanowczo, że nie grać nie będzie. Odmowa obudziła powszechne zadziwienie.

„Co ci się stało chłopcze,“ zawołał Zelter, czy cię ogarnęło drżenie febryczne od hucznych strzałów dział, czy nie występowałeś bez żadnej obawy na wielkich koncertach i przed naszym Goethem w Weimarze? Cóż więc mam mu napisać o tobie? może, żeś się stał tehórzem?“ „Ach, wtedy jeszcze dobrze nie wiedziałem com czynił, odpowiedział Feliks; teraz wiem już, że potych, wskazał Hummela i Moschelesa, grać nieumiem i nie mogę.“ W kilka dni później przyszedł znowu Moscheles do domu Mendelssohna, jako nauczyciel obojga starszych jego dzieci Fanny i Feliksa. W r. 1825 bawił ojciec Mendelssohna z swym synem w Paryżu, aby otrzymać zdanie Cherubini, czy Feliks ma się poświęcić wyłącznie muzyce.

Odpowiedź wypadła potwierdzająco. Z powrotem Mendelssohn odwiedził Goethego i Feliks zaprodukował swój najnowszy, staremu wieszczowi poświęcony *H-moll* kwartet. Feliks starał się także o naukowe wykształcenie i oswojenie się z klasyczną literaturą Greków i Rzymian.

Owoce jego starań było przetłómaczenie *Andryi Terencyjusza* o czym Goethe, gdy mu podane było do przeczytania, tak do Zeltera napisał: „Proszę, najpiękniej podziękować, dzielnemu, czynnemu Feliksowi za wspaniały egzemplarz poważnych estetycznych studiów; jego praca będzie dla wejmarskich przyjaciół sztuki, prawdziwie nauczającą podczas przyszłych wieczorów zimowych zabawą. W latach 1822 i 1827 napisał Mendelssohn szereg znakomitych kompozycji. Do najpierwszych zaliczyć trzeba powyżej wspomniany *H-moll* kwartet, Oktet i *Ouverture zum Sommernachts-traum*. W r. 1827 wstąpił do uniwersytetu, zawsze jednak wiernym pozostał muzyce; co większa doprowadził w berlińskiej akademii śpiewu, spoczywającą już prawie sto lat, wielką muzykę passyi Jana Sebastjana Bacha do przedstawienia; przedsięwzięcie, które jego nauczyciel Zelter uznał był za niemożliwe.

W tymże samym roku odbył Mendelssohn podróż do Anglii i dostąpił na koncertach towarzysztwa miłośników muzyki w Londynie świetnych rezultatów, tak pewnością swego dyrygowania, jako też swemi kompozycjami. Szczególniej zyskała nadzwyczajne zadowolenie odegrana pierwszy raz przy tej okazji *Ouverture zum Sommernachts-traum*. Były to dni nader błogie, jakie Mendelssohn w Londynie spędził. Przebywał tam w domu swego nauczyciela i przyjaciela Moshelesa a kółko duchem spowinowaconych (między którymi znajdował się znany poeta Klingemann) obdarzyło go swoją szczerą sympatją. Z Londynu Mendelssohn udał się z swym przyjacielem do

1831 i 1832 spędził Mendelssohn we Włoszech, w Szwajcaryi, Francji i Anglii. Z napisanych w owym czasie kompozycji, wymieniamy tutaj: Kantatę *Walpurgisnacht*, *G-moll* koncert *H-moll* *Capriccio*, *A-dur* symfonię i pierwsze *Lieder ohne Worte* (Pieśni bez słów). Listy z tej trzyletniej wędrówki wydrukowane zostały p. t. *Reisebriefe von Felix Mendelssohn-Bartholdy aus den Jahren 1830 bis 1832*. Listy te odznaczają się i treścią i formą i świadczą: „jak doskonale pełna charakteru natura i sztuka artysty Mendelssohna wzajemnie się splótły, przyjęły i obwarunkowały.“ W jesieni 1833 przeniósł się Mendelssohn do Düsseldorfu dokąd namijskiego dy-

rektora muzyki powołany został. Lata które tam z Immermanem, malarzem Hildebrandem, Lessingiem i innymi artystami spędził, liczą się do najszcześniejszych w jego życiu. Jako główne dzieło tego czasu, zaznaczyć należy kompozycją oratorium „*Paulus*“ najważniejszy utwór Mendelssohna, który pierwszy raz na „*Nieder-rheinischen Musikfeste*“ (22 maja 1836) przedstawiony został. Stosunki düsseldorfskie krótko trwały; Mendelssohn przesiedlił się w jesieni 1835 do Lipska i przyjął tutaj dyrekcją koncertów tak zwanych *Gewandhaus-koncerte*, które za jego przyczyną sławy europejskiej dostąpiły.

W r. 1837 ożenił się Mendelssohn z Cecylią Jeanrenaud, córką kanzlerki w Frankfurcie nad Menem i w tymże roku i w następnych trzech latach powstało wiele jego kompozycji jak np. Koncert z *D-moll* na fortepijan, 42, 95 i 114 psalmy, Trio z *D-moll*, sonata dla Cello z *B-dur*, fugi organowe, pieśni na jeden lub więcej głosów śpiewnych, i kantata symfoniczna „*Lobgesang*.“ Ta ostatnia kompozy-

cja wykonana była na uroczystości obchodu cztertego stulecia wynalezienia sztuki drukarskiej, w obecności króla Fryderyka Augusta Saskiego, który artystę w r. 1841 swoim kapelmajstrem zamianował. Powołany przez Fryderyka Wilhelma IV do Berlina, napisał tam Mendelssohn muzykę do *Antygony*, nie czuł się tu jednak zadowolonym i dopiero odżył, gdy w r. 1842 powrócił do Lipska i dyrekcją koncertów *Gewandhausu* objął na nowo. Na tem stanowisku urzeczywistnił przy pomocy króla saskiego, długo karmioną ulubioną ideę założenia muzycznego konserwatorium, w którym utalentowani uczniowie, dokładne wykształcenie swych zdolności muzycznych znaleźćby mogli. W r. 1843 powtórnie przez



Dziecko nad książką.

Szkocyi, i tutaj legendę jaskini Fingala przybrał w muzykalną nutę. Gdy Mendelssohn z Szkocyi powrócił i w domu w gronie swoich ulubionych opowiedział o uroku jaskini Fingala, prosiła go siostra Rebeka: „Opowiedzcie nam, jak wyglądała“ a Fanny dodała żartując: „Ale to musi być długa porządnie historia, że się pojmuje gdzie i jak!“ Na to odpowiedział Mendelssohn: „Uważajcie, zwyczajnemi wyrazami nie daje się to opisać, a wy wszak wiecie, że ja nie jestem poetą; będę wam więc to grał, a potem mi powiecie, czy wszystko dokładnie widziałyście i pojęłyście!“ Powiedziawszy usiadł przy fortepianie i grał ów cudowny temat, bajeczny, który później na uwerturę przeobraził i *Hebriden ouverture* nazwał. Rok 1830,

króla Fryderyka Wilhelma IV powołany został do Berlina, gdzie tytuł generalnego dyrektora muzyki otrzymał i dyrekcją muzyki kościoła katedralnego i koncertów symfonicznych objął. Pomimo wielu odznaczeń jakimi go zaszczycono, opuścił Berlin 1844 r. i znowu wrócił do swego dawnego zajęcia w Lipsku. Aby jednak okazać królowi Fryderykowi Wilhelmowi swoją wdzięczność, napisał muzykę do „*Oedipus auf Kolonos*“ i do „*Athalie*“. W rok później dokończył Mendelssohn oratorium „*Elias*“ które pierwszy raz 25 sierpnia 1846 r. w Birmingham wykonane było i kółko jego wielbicieli znacznie rozszerzyło. Z tego muzycznego obchodu w Birmingham opowiadają fakt, świadczący o bystrości umysłu Mendelssohna i wielkiej twórczości jego. W ostatni dzień obchodu, zamysłano grać sztukę muzyczną utworu Händla. Koncert się już rozpoczął, gdy spostrzeżono, że brakowało małego recitativo poprzedzającego właściwy hymn koronacyjny, które publiczność miała w księgach tekstu. Dyrektorowie obchodu więc z tego powodu w wielkim byli kłopotcie. Mendelssohn który w bliskości się znajdował, usłyszawszy o tem, powiedział: „Czekajcie, ja wam pomogę!“ Usiadł i w ciągu półgodziny recitativo wraz z głosami chóralnymi napisał. Natychmiast je przepisano, głosy na mokro jeszcze rozdano, bez żadnej próby.

Zanadto wstrząśnione i wielką wysiłkami znużone życie, nakazywało artyście oszczędzenie się i lekarz wzbroniał mu występów publicznych. Pomimo tego, przyjął po wielu namowach, przewodnictwo prób ostatnich przedstawienia, swego: „*Paulus*“ które miało miejsce w Wielki piątek 1847 r. w kościele Paulinów w Lipsku. Udał się także podług danego przyrzeczenia, bezpośrednio po tym kościelnym koncercie, do Anglii, by w Londynie przewodniczyć wykonaniu swego „*Elijasza*“. Z powrotem doszła go we Frankfurcie nad Menem wiadomość o zgonie swej siostry Fanny z którą od pierwszych lat młodości w najściślejszych żył stosunkach. Ta strata tak silnie nim wstrząsnęła, że jakby paraliżem tknięty, upadł na siłach i umyśle. Podług zdania lekarzy naczynie krwionośne pękło w jego mózgu; to też od owego czasu ciągle uskarżał się na mocny ból głowy i zbliżającą się śmierć przeczuwał.

Pomimo osłabienia miał jeszcze chęć do utworzenia czegoś wielkiego; dwa wielkie dzieła głównie go teraz zajmowały: oratorium „*Chrystus*“ i opera „*Lorelei*“. Z oratorium mamy tylko kilka sztuk, opera zaś jedynie do końca pierwszego aktu doprowadzona była. Oprócz tego napisał wtenczas jeszcze dwasmyczkowe kwartety z *F-moll* i *D-moll* i kilka mottetów i pieśni. Dnia 9 października przyniósł Mendelssohn jednej przyjaciółce swojej nowy poszyt pieśni. Wprawdzie po tym ataku jeszcze raz przyszedł do siebie, ale d. 3 listopada nastąpił paraliż nerwów, który chorego zmysłów pozbawił a o godzinie 9 wieczorem tegoż dnia 1847 r. skończył życie wielki artysta. W całych Niemczech i w Anglii pamięć jego czczono żałobnymi uroczystościami.

LAOKOON.

Laokoon syn Antenora czy też Akoitesa, kapłan thymbrajskiego Apollinacy też Poseidona w Troi, ostrzegał Trojańczyków o niebezpieczeństwie, grożącym im od drewnianego konia i z tego powodu został z dwoma synami zabity przez dwa ogromne węże, nasłane nań przez zagniewaną Minerwę. Podanie to ma znakomite znaczenie z powodu słynnego dzieła rzeźbiarskiego znalezione go r. 1506 pod Sette-Sala w okolicy Rzymu, przedstawiającego śmierć Laokoonu i dwu jego synów a umieszczonego przez papieża Juliusza w zbiorach Watykanu. Utwór ten zwany grupą Laokoonu, przedstawiony w drzeworycie na str. 737 niniejszego numeru „Opiekuna“, wykonany przez rzeźbiarza Agezandra, Polidona i Atenodora z Rhodu, należy do najcenniejszych dzieł sztuki klasycznej. Wedle O. Müllera przedstawia on trzy akty tragedii. Podczas gdy starszy syn, będący jeszcze jakoby w możności ratować się ucieczką, wyobraża początek akty a młodszy zginął już w uściskach węży, w oju, figurze środkowej, uwydatnia się energija i pathos, koncentruje się straszny moment, pełen wzniosłości i grozy. Wykonanie całości jako też wszystkich części zaleca się nieporównanem mistrowstwem. Co do czasu powstania grupy Laokoonu nie ma dotąd zgody. Jedni odnoszą ją do kwitnącej epoki szkoły rodyjskiej, inni zaś do pierwszych czasów imperyjum rzymskiego.

ŚLADY ŻYCIA.

XLVIX.

Tyle życia ile w czynie.

Koncert na dochód niezamożnych studentów warszawskiego uniwersytetu, zebrał tego roku tak wielkie tłumy publiczności, jakich nigdy jeszcze dotąd Sale Redutowe nie oglądały. Na długo przed rozpoczęciem wszystkie bilety były już rozkupione, a ciągle jeszcze przybyły nowe pragnęły ofiarować stosunkowo znaczne kwoty za to, żeby się dostać do sali. Za cel koncertu był tu jednym z ważnych pobudek, ale wyborowy program nie mało także przyczyniał się do powodzenia. W koncercie przyjęły udział najpierwsze siły artystyczne: panie Friderici-Jakowicka i Dowiakowska, pp. Fileborn, Cieślowski i Wasilewski w części wokalne, p. Gorski w części instrumentalnej, a pani Modrzejewska i pp. Królikowski i Żółkowski w części deklamacyjnej. O pięknym i czystym głosie i znakomitej szkole śpiewu p. Friderici-Jakowickiej mówiliśmy już niedawno. Niepotrzebujemy tu już więcej mówić, jak dalece chętny jej udział w tak szlachetnym celu przyczynił się do uświetnienia koncertu. P. Królikowski zelektryzował publiczność wypowiedzeniem ustępu z pieśni Pola, odkrywając w niem piękności, na

jakie czytelnik nie zwróciłby nawet uwagi; a p. Żółkowski do pięknej harmonii serdecznych dźwięków dodał nutę nieporównanego artystycznego humoru. P. Modrzejewska jak zwykle, deklamacją swą wzruszyła głęboko słuchaczy. Młody amator p. Chodakowski złożył też swe wokalne siły na ołtarzu dobra ogólnego.

* * *

Skoro tak świetnie powiódł się koncert na rzecz studentów uniwersytetu, możemy być pewni że uda się w zupełności koncert na dochód niezamożnych uczniów gimnazjów warszawskich, na dzień 12 b. m. naznaczony.

Urządzeniem i wykonaniem tego koncertu zajmuje się p. Müncheimer, chętnie zawsze ofiarujący swoje usługi, gdy idzie o pomoc uczącej się młodzieży. Program będzie obfity i urozmaicony.

* * *

Jakież to szczęście dla domu, gdy mu przywodzi dzielna, pobożna niewiasta, ale jakie znów spada nań utrapienie, gdy rządy zostają w rękę dewotki. Kobieta *pobożna* i *dewotka* to synonimy prawie, a jednak w naszym przynajmniej języku, ogromna między nimi różnica. O ile trudno spotkać prawdziwie pobożną niewiastę, o tyle dewotek nie brak prawie we wszystkich warstwach społecznych, a mianowicie też w tak zwanym *wielkim świecie*. Społeczeństwo nasze długi czas wolne było od świętoszków rodzaju żeńskiego, lecz obecnie, idąc za modą z Paryża, znajdziesz ich pod dostatkiem w wielu miejscowościach polskich, nawet w Warszawie, która nigdy pod tym względem zbyt nie grzeszyła. Dziś należy do dobrego tonu być dewotką. O tej dewocy, czyli *nabożeństwie*, polegającym głównie w zewnętrznym stosowaniu się do przepisów religijnych, wyborna wyszła u nas, przyswojona z francuskiego książka p. t. *Nabożeństwo osób wielkiego świata*. Autorka należąca sama do sfer arystokratycznych, śmiało i dowcipnie wypowiada towarzyszkom swoim całą niedorzeczność postępowania dewotki, i podaje zarazem sposoby, jak można połączyć prawdziwą z serca i wiary płynącą pobożność z obowiązkami towarzyskimi, a w szczególności z obowiązkami dobrej żony, matki i pani domu. Książka pocziwych tendencji i zajmująco napisana. Za przyswojenie jej naszej literaturze słuszne należą się dzięki p. Maryi S. która pięknym i poprawnym językiem wypowiedziała myśli autorki.

* * *

Od Nowego Roku przyszłego, przybędą nam w Warszawie trzy nowe organy publiczne: „*Ateneum*“ pod redakcją p. Hermana Benni, lektora języka angielskiego w uniwersytecie warszawskim i redaktora odpowiedzialnego Kuryjera Warszawskiego, będzie miesięcznikiem poważnym literacko-naukowym, uwzględniającym przedewszystkiem filozofję i krytykę; „*Biesiada Literacka*“, pismo literackie, polityczne, ilustrowane, własność p. Gracyjana Ungra wydawcy „Tygodnika Ilustrowanego“ i „Wędrowca“, karmić będzie czytelników swoich powieścią, polityką i ilustracjami, i nareszcie „*Świat*“ dwutygodnik ilustrowany dla młodzieży i działwy, zjawi się jako współza-

wodnik jedyne dotąd u nas pisma w tym rodzaju „Przyjaciela Dzieci.”

„Świat” jak powiadamia „Przegląd Tygodniowy,” wydawca bowiem nie wystąpił dotąd z prospektem, ma być pismem z kierunkiem naukowym dla młodzieży od lat 6 do 16 i dla tego ma być tak urządzonem, iż z początku każdego numeru iść będą artykuły trudniejsze, dla starszych dzieci, a dalej coraz łatwiejsze, aż zeszyt zakończy się powiastką oraz wszelkiego rodzaju grami, łamigłówkami, rebusami, szaradami i t. p. zadaniami rozwijającymi umysł, według najnowszych wskazówek pedagogicznych. Metoda pogładowa Pestalozzego, oraz jej podziały: metoda Swobody, Froebela i t. d. mają być stosowane do sposobu wykładu i pisania artykułów, pomiędzy którymi znajdą miejsce obrazy historyczne, powieści, bajki, poezye i t. p. Świat ma być wydawnictwem nader ozdobnem, a oprócz drzeworytów dołączać będzie staloryty, chromolitografje i litografje kolorowane. Osobny dodatek obejmować ma wzory malarstwa i rysunku dziecięcego, wzory różnych robót dla pańienek: introligatorskich, plecionych i t. p. nadto nuty, gry i zabawy. Na okładce każdego numeru redakcyjna zamieszczać będzie krótkie oceny wszystkich dzieł i publikacji przeznaczonych dla młodzieży i dzieci, pomieszczać wiadomości o środkach pedagogicznych, dotyczących wychowania domowego i udzielać w odpowiedziach rad rodzicom i wychowawcom. Cena „Świata” wynosić ma w Warszawie rs. 1 k. 50 kwartalnie; na prowincyi z przesyłką rs. 2.

Nie wątpimy, że przyszła redakcyjna „Świata” potrafi wypełnić umiejętnie bogatą ramę programu, to też spotykając ją serdecznie życząc *Boże*, życzymy nowemu piśmu powodzenia jak najlepszego a prawdziwie będziemy szczęśliwi, gdy się spełnią te życzenia nasze. Sprawa wychowania, to sprawa ważna nad wyraz, gdy doniosłość jej poznamy; gdy zabierzemy się umiejętnie do jej uprawy; gdy tę bogatą a odłogiem puszczoną niwę, zdrowem ziarnem obsiewać pocniemy.

Nie wolno nam rozwodzić się nad „Kalendarzem dla pańien” jaki nakładem p. Burzyńskiego drukarza, wyszedł w tych czasach na widok publiczny. Redaktorem jego bowiem jest stały nasz współpracownik p. Antoni Pilecki, wolno jednak zaznaczyć, że prasa warszawska bardzo życzliwie przyjęła to nowe, pierwszy rok istnienia liczące wydawnictwo; wolno nadmienić, że z pomiędzy artykułów pomieszczonych w tym panińskim noworoczniku, znalazła zaszczytne wyróżnienie praca Dra Piotra Chmielowskiego p. t. *Słowo o kobiecie, jej wykształcenie i zarobkowanie*, a dalej kilka bardzo rzeczywiście udatnych poezyj p. na Pileckiego i jego *Mickiewicz jako twórca postaci kobiecych*, oraz *Koszuka i treny Jana Kochanowskiego*. Artykuły: *Nauczycielki*, przez T. Z. oraz *Dzisiejsze czytelnictwo kobiece* pióra p. Jana Jeleńskiego, zasługują też w zupełności na zaszczytną wzmiankę. Cenę kalendarza oznaczył wydawca na kop. 40 za egzemplarz.

Właściciele obszernych zakładów żelaznych w mieście naszym p. Lilpop, Lewenszteini i Rau

mają, jak wieść niesie, otworzyć dwie szkoły dla kształcenia pracujących w warsztatach ich rzemieślników. Czas pokaże wkrótce, o ile jest słuszną ta dobra pogłoska.

„Niwa” w 23 swoim zeszytzie z dnia 30 listopada, pomieściła artykuł wstępny p. t. *Rząd i urzędnicy*, na który zwracamy szczególną uwagę czytelników naszych.

P. Brodzki przy cukrowni w Lebedynie w powiecie Czehryńskim gub. Kijowskiej, założył dwuklasową szkołę elementarną, urządziwszy takową według najnowszych udoskonalonych wzorów. Przy szkółce znajduje się ogród i gimnastyka, a wykłady poruczono trzem nauczycielom, którzy razem otrzymują z górą 1000 rs. wynagrodzenia. Jeżeli liczba uczennic zwiększy się, dotąd bowiem uczęszcza do zakładu tylko siedm dziewcząt, przyjętą będzie nauczycielka. W dniu otwarcia szkoły, oficjaliści i robotnicy złożyli składkę w summie rs. 400, na korzyść ubogich uczniów i zaprowadzenia biblioteki szkolnej.

W gazecie Przemysłowo-Rzemieślniczej (Nr. 49) spotykamy się też z uczciwym głosem „młodego przemysłowca.” W obec rozbudzonego dziś u nas ruchu przemysłowego, w obec licznych w mieście naszym fabryk, uderza, mówi on, brak bibliotek rzemieślniczych, których potrzebę każdy myślący człowiek uznaje a przynajmniej uznać powinien. Na początek proponuje autor zakładanie bibliotek takich przy większych fabrykach i warsztatach a fundusze na to radzi wytworzyć przez strącanie przy wypłatach po kopiejce od rubla każdemu pracownikowi. Nie szukajmy tylko, powiada wreszcie trudności tam, gdzie ich nie ma, chciejmy bibliotek a będziemy je mieli.

Głos to, powtarzamy, uczciwy, i pp. właściciele fabryk i warsztatów nie powinni by puścić go płazem.

Założone przez p. Kossutha, redaktora „Przeglądu Technicznego,” biuro dla szukających pracy, o którym pisaliśmy już w „Opiekunie,” rozwija się bardzo pomyślnie. Jak donosi „Kuryer Warszawski,” pracowników przeszło się już zapisało 300, ale co lepsza nie brak ofiarujących posady. W pierwszym tygodniu było miejsce w stosunku do poszukujących jak 1 do 10, w drugim jak 1 do 9 a w trzecim już jak 1 do 8. Daj *Boże*, aby ciągle szło dalej w tym stosunku.

FANTAZYJA D^{ra} OX

przez

Juliusza Verne.

(ciąg dalszy).

IX.

W którym doktor Ox i jego pomocnik Ygène przemawiają do siebie parę słów.

— A więc Ygène?

— A więc mistrzu wszystko gotowe! Rury gazowe wszędzie już pozaciągane.

— Zatem zaczniemy działać na wielką skalę i na całe masy.

X.

W którym zobaczymy że epidemia opanowała całe miasto i jakie z tego skutki.

W ciągu następnego miesiąca, złe zamiast zmniejszyć się, rozpowszechniało się coraz więcej. Z domów prywatnych epidemia przeszła na ulice. Miasto Quinquendone zmieniło się do niepoznania.

Fenomen ten tem więcej zadziwia iż bacniejsze umysły dostrzegły, że nie tylko królestwo zwierzęce, ale i królestwo roślinne uległo fatalnemu wpływowi.

Według zwykłego porządku rzeczy epidemie specjalizują się. Te które dotyczą człowieka, nie dotyczą zwierząt, te zaś które dotyczą zwierząt, rośliny są od nich wolne. Dotąd bowiem nie widziano konia dotkniętego ospą, ani też człowieka księgosuszem; barany zaś nie chorują nigdy na zarazkę kartoflaną. Tu jednak wszystkie prawa natury zdawały się być zburzone. Nie tylko charakter, temperament, myśli mieszkańców i mieszkańek Quinquendone zmieniły się, ale zwierzęta domowe: koty, psy, woły, konie, osły, kozy, podległy temu wpływowi epidemii, tak jakby istota ich uległa zupełnej przemianie. Rośliny nawet wyemancypowały się, jeśli odnośnie do nich wyrażenie to będzie właściwem.

W istocie w ogrodach owocowych i warzywnych objawiały się symptomata nadzwyczaj ciekawe. Rośliny pnące się zuchwale wznosiły się do góry wyżej jak dawniej, rośliny zaś rosnące przy ziemi rozrastały się z większą siłą. Krzewy stawały się drzewami. Ziarna zaledwie zasiane, pokazywały swe zielone wierzchołki w tej samej porze co dawniej dosięgały wysokości jednej linii, dorastały do cala. Szparagi dosięgały dwóch stóp wysokości, karczochy stawały się wielkie jak melony, melony jak arbuzy, arbuzy jak dynie, dynie zaś dosięgały wielkości dzwonu miejskiego, który miał do dziewięciu stóp średnicy. Kapusta wyglądała jak krzaki, a grzyby jak parasole.

Owoce pośpieszyły za przykładem warzyw. Na dwóch starczyła jedna poziomka, a na czterech gruszką. Winne grono dochodziło do tej wielkości o jakiej daje wyobrażenie Poussin w swoim obrazie powrotu wysłańców do ziemi obiecanej.

Toż samo działo się z kwiatami: ogromne fijołki rozprzestrzeniały w powietrzu balsamiczny zapach, róże rozrośnięte błyszczały świetnymi kolorami, lilije tworzyły w kilka dni nieprzybyteżarośla, geranie, stokrotki, kamelije, rododendrony tworzyły cieniste aleje i niszczyły się wzajemnie. Nóż ogrodniczy był już niedostateczny. A tulipany, te piękne kwiaty, które są ulubieńcami Flamandów, jakież wrażenie sprawiały na amatorach! Szanownego van Bistroma ogarnął szal gdy zobaczył w swoim ogrodzie zwykły tulipan „tulipa gesneriana” wielkości ogromnej, potwornej, olbrzymiej, którego kielich służył za gniazdo dla całej rodziny moszków.

Całe miasto zbiegło się aby zobaczyć ten fenomen i nazwano go „tulipa Quiquendonia.“

Lecz niestety! jeżeli te rośliny, te owoce i te kwiaty rosły tak szybko, jeżeli cała roślinność przybierała rozmiary olbrzymie, jeżeli jaskrawość kolorów i zapachu, zachwycały wzrok i powonienie, zniknęły one zbyt szybko. Powietrze, którem oddychały paliło je gwałtownie i umierały wkrótce wysilone, przekwintęte, zniszczone.

Taki był los sławnego tulipana, który zniknął po kilku dniach świetności.

Toż samo było z domowemi zwierzętami, poczynając od psa do świni chlewnej, od kanarka do indyka gospodarskiego.

Należy objaśnić, że te zwierzęta w zwykłym czasie niemniej były flegmatyczne jak ich panowie. Pies i kot wegetowały raczej niż żyły. Nigdy nie igrały z sobą, ani też nienawidziły się nigdy. Ogonem nawet nie poruszyły, tak jakby on był z brązu, a od niepamiętnych czasów nie zauważono iżby się kiedy gryzły albo drapały. Co do psów wściekłych, takowe uważano jako zwierzęta nie istniejące w naturze.

Ale podczas tych kilku miesięcy, podczas których zaszły wypadki postaramy się wiernie opowiedzieć, co za zmiana we wszystkim straszna! Psy i koty zaczęły pokazywać zęby i pazury. Zdarzyło się kilka wypadków ataków i rejterady. Po raz pierwszy ujrano konia który zrzucił wędzidło i galopował po ulicach miasta Quiquendone, po raz pierwszy ujrano wołu rzucającego się na swego przeciwnika z rogami na dół spuszczone, po raz pierwszy dostrzeżono osła wywróconego do góry brzuchem, wierzgającego nogami w powietrzu na placu 6-go Erunfa i ryczącego, wreszcie barana, tak jest barana we własnej osobie, niedającego się walecznie rzeźnikowi, który chciał z niego zrobić kotlety.

W skutku tego wszystkiego burmistrz van Tricasse znalazł się w konieczności wydania odpowiednich rozporządzeń policyjnych, dotyczących zwierząt domowych.

Niestety! Zwierzęta nie mają rozumu, lecz mniejsza o nie, ale co robić z ludźmi którzy nie byli od nich mędrsi.

Dzieci dotąd tak łagodne stawały się nieznosnymi i sam sędzia prezydujący Honoryusz Syntax był zmuszonym użyć środków represyjnych względem swej młodej progenitury.

W szkołach bywały zaburzenia, w skutek których niepodobna już było trzymać uczniów w zamknięciu a wzburzenie opanowywało nawet profesorów, którzy uczniów niezwykłymi obciążali karami.

Jeszcze zjawisko inne! Wszyscy mieszkańcy Quiquendone tak wstrzemięźliwi dotychczas i obchodzący się śmietaną, dopuszczać się zaczęli prawdziwych nadużyć w jedzeniu i picu. Zwykłe dania były już niewystarczające. Każdy żołądek stawał się otehląnią a ta otehląń potrzebowała być napełnianą środkami bardzo energicznymi. Konsumpcja miejska potroiła się. Zamiast dwa razy, zaczęto jadać po sześć razy na dzień. Radny Niklausse nie mógł niczem zaspokoić głodu. Burmistrz van Tricasse nie mógł ugasić pragnienia i nigdy już nie wychodził z pewnego rodzaju półupojenia.

Nakoniec symptomata najniebezpieczniejsze objawiły się i pomnażały z dnia na dzień.

Spotykano ludzi pijanych a pomiędzy pijanemi widziano znakomitości nawet.

Cierpienia żołądkowe zajęły cały czas doktorowi Dominikowi Custos, cierpienia zaś nerwowe spowodowały pewien stopień drażliwości, która rozstroiła zupełnie nerwy mieszkańców.

Zdarzały się kłótnie, zdarzały zajścia na ulicach kiedyś tak pustych a dziś tak uczęszczanych.

Potrzeba było pomnożyć kadry policyjne, aby powstrzymywać burzycieli publicznego porządku.

Otworzono kozę w ratuszu a kosa dniem i nocą napełnioną była. Komisarz Passauf stał się nadzwyczaj ważną figurą.

Małżeństwa zawierano w każdym bodaj miesiącu, czego tu nigdy poprzednio nie bywało. Syn poborcy Ruppia zaślubił córkę pięknej Augusty de Rovere i to w pięćdziesiątym dniu po oświadczeniach!

Burmistrz van Tricasse odchodził od przytomności, widząc że jego piękna Suzel z rąk mu się wymyka.

Co do kochanej ciotki Tatanemanej to oświadczyła się komisarzowi Passauf, utrzymując że małżeństwo to złączy w sobie wszystkie warunki szczęścia, majątku, honoru i młodości.

Nakoniec, dla dopełnienia ohydy, pojedynek miał miejsce. Tak jest pojedynek na pistolety o 75 kroków z nabojami ostre! Pomiędzy kim? Czytelnicy nasi nie zechcą nam wierzyć.

Pojedynek miał miejsce pomiędzy panem Franciszkiem Niklaussem synem radnego Niklausa z jednej i synem bogatego bankiera, młodym Szymonem Colaert, z drugiej strony.

Przyczyną pojedynku była Suzel, własna córka burmistrza w której się zakochał Szymon.

XI.

W którym mieszkańcy Quiquendone robią heroiczne postanowienie.

Z powyższego się pokazuje w jak opłakanym stanie znajdowała się ludność Quiquendone. W głowach fermentowało i wszystko zmieniło się do niepoznania. Ludzie najspokojniejsi stali się sprzekami, a jeżeli spojrzal na kogo z pod oka, posyłał ci zaraz sekundanta. Niektórzy pozapuszczali wąsy, zuchwalsi pokrzęcali je do góry.

W tych warunkach administracja miasta i utrzymanie porządku na ulicach i placach publicznych stawały się bardzo trudnymi, albowiem służba policyjna nie była przygotowana do takiego stanu rzeczy. Burmistrz uczeiwy van Tricasse, tak łagodny, tak zimny i tak trudny do powzięcia jakiegokolwiek postanowienia, nieraz musiał wybuchać gniewem, wydawać dwadzieścia rozkazów na dzień, burzyć na agentów.

Ah! cóż za zmiana! O ty miły i spokojny niedgdyś domku burmistrza, o ty wygodne flamandzkie mieszkanie, gdzieś twój dawny spokój?

Jakież dziwaczne sceny przytrafiają się tu teraz! Pani van Tricasse stała się nieznośną,

dziwaczna i obżartą. Pan van Tricasse jej mąż musiał wrzeszczeć na całe gardło, aby ją przekrzyknąć i tem zmusić do kapitulacji. Drażliwość tej dzielnej ongi kobiety udzieliła się domownikom wszystkim i przepadł porządek stary. Służba nie wypełniała swych obowiązków. Opóźniała się, zaniedbywała. Pani burmistrzowa miała tysiące pretensyj do Lotchè a nawet do Tatanemanej, siostry swego małżonka, która znowu kwaśna teraz jak ocet, cierpko odpowiadała na wszystkie przyczepki. Naturalnie pan van Tricasse trzymał stronę za służącą Lotchè a że i ona sama uważała się za najlepszą i najniewinniejszą, stąd rozjątrzenie pani domu coraz większe, stąd gniewy, dyskusyje, rozprawy i sceny które nigdy nie miały końca.

— Co się tu porobiło? lamentował nieszczęśliwy burmistrz, co to za straszny płomień wewnętrzny, który nas pożera? Czy zły duch nas opanował czy co? O! pani van Tricasse! pani van Tricasse! za przyczyną twoją ja pierwszy wbrew tradycyjom naszego rodu, przeniosę się do wieczności.

Czytelnik nie zapomnił zapewne tej dziwacznej dość osobliwości, według której pan van Tricasse powinien był koniecznie zostać wdowcem i ożenić się powtórnie, aby nie zrywać uświęconego długą praktyką łańcucha.

Uspokobienie to umysłów spowodowało jeszcze inne ciekawe następstwa, które musimy zaznaczyć. Następstwem wewnętrznego wzburzenia mieszkańców, którego przyczyny nie dociekliliśmy dotąd, było fizjologiczne odrodzenie i przekształcenie. Talenta które dotąd pozostawały zaniedbane wyłaziły jak grzyby po deszczu. Zdolności potęgowały się. Artyści dotychczas bardzo mierni okazywali się znakomitościami, politycy i literaci jaśnieli blaskiem niezwykłym; mówcy w najgorętszych dysputach wprawiali w podziw słuchaczy i tak już łatwo zapalnych. Z posiedzeń rady miejskiej ruch przeniósł się na zebrania publiczne i utworzył sobie w Quiquendone klub, gdy tymczasem pięć pism peryjodycznych: „Na straży“, „Prawda“, „Postęp“, „Naprzód“, „Czuwajcie“, redagowane namiętnie podnosiły kwestyje najpoważniejsze.

Jakie kwestyje zapytacie. Wszystkie i żadne; rozprawiano w przedmiocie wieży Audenardu, która się pochyliła i którą jedni chcieli rozebrać natychmiast, inni natychmiast restaurować, w przedmiocie rozporządzeń policyjnych rady miejskiej, którym uparte głowy śmiały się opierać; w przedmiocie zamykania ulic, oczyszczania rynsztoków, ścieków i t. d. Ale gdyby to jeszcze wybujałe pały rozprawiły jedynie o wewnętrznej administracji miasta! Gdzie tam! Uniesiony prądem postępowie zaciekał się daleko, głębiej i gdyby nie ręka Opatrzności, dawnoby już był pociągany, dawno popchnął, dawno wtrąciłby swych bliźnich w otchłań niepewnych losów wojny.

W istocie od osmiuset z górą lat Quiquendone nosiło w sobie *casus belli* w całym najdrażliwszym znaczeniu tego wyrazu; od osmiuset z górą lat chroniło go starannie jak relikwję jakąś a widocznie grubo by mylił się kto by sądził, że niema już takich coby go podnieść byli gotowi.

Nie wszystkim wiadomo zapewne, że Quiquendone w szczęśliwej Flandryi położone.

graniczy z miasteczkiem Virgamen; że grunta tych dwu miast stykają się ze sobą.

Od 1185 roku, na krótki jakiś czas przed odjazdem hr. Baudouin na wojnę krzyżową, krowa z miasteczka Virgamen nie należąca wszelako do żadnego z jego mieszkańców, krowa, zauważcie tylko dobrze, należąca do gminy miasta Virgamen, weszła na grunta miasta Quiquendone. Otóż chociaż przezuwające stworzenie trzy razy zaledwie szerokością swego języka dotknęło paszy zagranicznej, aliści pojmano ją i uznano winną występku, nadużycia, zbrodni i jak tam sobie już sami nazwać to zresztą chcecie. Uwolniono ją, to prawda, ale spisano protokół, bo w tej epoce urzędnicy bywali już piśmienni.

— Zemścimy się jak przyjdzie na to pora, rzekł wówczas prostodusznie Natalis van Tricasse, trzydziesty drugi przodek dzisiejszego burmistrza i mieszkańcy Virgamen nie nie stracą na oczekiwaniu.

Mieszkańcy Virgamen byli o tem uprzedzeni, czekali więc myśląc, nie bez pewnej racji, że wspomnienie krzywdy zblednie a nawet zatrze się zupełnie z czasem, i rzeczywiście w ciągu wielu wieków żyli w dobrych stosunkach z mieszkańcami Quiquendone.

Ale ów nowy gość a raczej owa epidemija która radykalnie zmieniła charakter sąsiadów, obudziła też na nieszczęście i zdrzemniętą zemstę.

Stało się to w klubie przy ulicy Monstrelet, w którym burzliwy adwokat Schut przedstawiając sprawę tłumowi słuchaczy, wzburzył umysły używając wyrazów i wyrażen podniecających.

Wspomniat o przekroczeniu, wspomniat o krzywdzie gminie wyrządzonej, wspomniat że dla tych, którzy prawa swoje szanują, nie ma przedawnień żadnych; wspomniat o pewnych oznakach, o pewnych poruszeniach głów, właściwych mieszkańcom Virgamen, które dowodnie przekonywają w jakiej wgardzie ci ostatnie mają mieszkańców Quiquendone; błagał współrodaków którzy prawdopodobnie bezwiednie znosili przez tyle wieków tak śmiertelną krzywdę, aby się za sobą ujeli i przekonywał dzieci starożytnego miasta, jako nie ma innego na to środka jak otrzymać świetne zadość uczynienie, i nakoniec przemówił do wszystkich sił żywotnych narodu.

Z jakim zapalem te nowe zupełnie dla uszu mieszkańców Quiquendone słowa przyjęte zostały, tego wypowiedzieć nie można. Słuchacze powstali, a wzniosłszy ręce do góry wielkim głosem zażądali wypowiedzenia wojny. Nigdy adwokat Schut nie miał takiego powodzenia: a dodać tu nie zawadzi, że był bardzo przy stojny.

Burmistrz, radni, dygnitarze i inni obecni na posiedzeniu, mieli niby zamiar oprzeć się powszechnemu uniesieniu, ale porwani ogólnym zapalem, równie głośno jak inni wołali:

— Na granicę! na granicę!

Ponieważ granica odległą była zaledwie o trzy kilometry od murów miasteczka Quiquendone, mieszkańcom Virgamen groziło niebezpieczeństwo wielkie, mogli bowiem być otoczeni przed przygotowaniem się do zbrojnego oporu.

Szanowny aptekarz Josse Liefrinck, czło-

wiek jeden jedyny jaki dotąd przy zdrowych zmysłach pozostał, chciał zwrócić uwagę, na brak dowódców, karabinów, armat i amunicji.

Odpowiedziano mu przy akompaniamencie wcale licznych szturchańców: że generałowie, armaty i karabiny znajdują się; że słuszność sprawy i miłość kraju wystarczą aby uczynić naród niezwyciężonym, a burmistrz poparł to gdy w świetnej improwizacji poddał publicznej wgardzie tych małodusznych co podszyci tchórzem, chcą wynajdywać przeszkody, chcą najświętsze uczucia ważyć na szali zimnego rozsądku.

Gdy skończył zatrzęsła się sala od grzmotu oklasków.

Zażądano głosowania.

Wojnę zatwierdzono jednomyślnie i podwoiły się okrzyki.

— Do Virgamen! do Virgamen! Burmistrz zawezwał tedy do pochodu, przyrzekając w imieniu miasta temu z przyszłych generałów, który powróci zwycięzcą takie honory, jakie się praktykowały za rzymskich czasów.

Aptekarz jednak Josse Liefrinck człek bez krwi i uparty, dotąd za przekonanego się nie uważał, i jeszcze zrobił jedną uwagę.

Zauważył, że w Rzymie przyznawano prawo takiego tryumfu tym tylko generałom, którzy zwyciężając położyli trupem pięć tysięcy nieprzyjaciół na placu.

— Zgoda na to, dobrze, dobrze! zawołał ze wściekłością obecni.

— Ależ ludność gminy Virgamen dochodzi zaledwo do trzech tysięcy pięćset siedmdziesięciu pięciu głów, dodał aptekarz, a niemożliwym jest po kilka razy zabijać jedną osobę.

Nie pozwolono skończyć nieszczęśliwemu logikowi i wszyscy popychając go i szturchając za drzwi go wyrzucili.

— Obywatele! krzyknął wtedy kupiec korzenny Pulmacher; obywatele, bez względu na to co wybełkotał ten podły judasz aptekarz, ja sam zobowiązuje się położyć trupem pięć tysięcy mieszkańców Virgamen, jeżeli zechcecie przyjąć moje usługi.

— Ja położę pięć tysięcy pięćset! wrzasnął jeden z zapalczywszych patryjotów.

— Ja sześć tysięcy sześćset! zawołał cukiernik z ulicy Hemling Jan Orbideck, który był na drodze zrobienia majątku na śmietankowym kremie.

— Zasądzono! zawyrokował burmistrz van Tricasse, gdy nikt wyższej nie podał oferty i takim otóż sposobem sławetny Jan Orbideck został jenerałem wojsk Quiquendone.

XII.

W którym pomocnik Ygène podaje słuszną radę, żywo jednak odrzuconą przez doktora Ox.

— Tak więc mistrzu! odezwał się nazajutrz po zasztych wypadkach, pomocnik Ygène wylewając ceber kwasu siarczanego w koryto olbrzymiego stosu elektrycznego.

— Tak, tak, podchwycił doktor Ox, czyż nie miałem słuszności? Widzisz do czego tu przychodzi; nie tylko istota fizyczna całego narodu lecz jego moralność, godność, talenta, zdanie

polityczne uległy zmianie! Ach! to jest właśnie kwestyja molekularna....

— Bez wątpienia, lecz....

— Lecz?

— Czyli nie uważasz doktorze, że rzeczy poszły za daleko i że nie należało by wzburzać tych biedaków nad miarę?

— To być nie może, zawołał doktor, nie, ja dojść muszę do celu?

— Jak chcesz, mistrzu, w każdym razie doświadczenie zdaje mi się dostatecznym i sędzę że byłby już czas....

— Do czego?

— Do zamknięcia kranu.

— Otóż go masz! krzyknął doktor Ox, spróbuj tylko a zmiażdżę cię w drobne kawałki!

d. e. n.

BIBLIOTECZKA DOMOWA.

Dzieci pani Sojeckiej na wakacjach. Obrazki przez autorkę „Wesołych i ciekawych powiastek.“ Warszawa 1876. Nakładem księgarni Stoppella i Stana (str. 295).

Książeczka ta złożona jest z opowiadań już to samej p. Sojeckiej, już to niańki Borosi; w opowiadaniach jednak tych nie tylko ciekawość czytelników, ale i wykształcenie ich umysłu miano na względzie. Na szczególną uwagę zasługuje wypracowanie Ludki o historii polskiej, na imieniny matki napisane (str. 124—197). Prócz tego z powodu tych opowiadań zawiązuje się rozmowa, którą pani Sojecka kieruje odpowiadając na pytania dzieci i pobudzając je do myślenia. W ogóle skład całego towarzystwa jest następujący: Pani Sojecka przedstawiła się nam jako kobieta wykształcona i dobra matka, to jest taka jaką być powinna. Co zaś do dzieci to przedewszystkiem *Tadeusz*, najstarszy syn, jest nad wiek roztropny, ale nasłuchawszy się wśród starszych rozmaitych teoryj, zanadto przejął się wyobrażeniami, że jest dorosły i że może o wszystkim zdanie swe wypowiadać. Starsza córka *Emilka* jest dziewczynka, jakich bardzo wiele; nie okazuje ani szczególnego rozumu, ani też grzeszy zbytnią tępością. *Ludka*, druga córka jest to jeszcze dziecko roztrzępane, z dobrym sercem; posiada dość rozwinięty umysł; widać w niej wytrwałość w postanowieniu; w ogóle jest to więcej charakter męzki. *Staś*, synek najmłodszy, jest dzieckiem jeszcze pod każdym względem, jednakże z jego zapytań i ciekawości pokazuje się, że może być bardzo inteligentnym. Lubi on nie tylko słuchać, ale mówić o rzeczach poważnych, co w tym wieku nie jest rzeczą zwykłą, gdyż pospolicie dzieci nudzą się podobnymi zabawami i szukają rozrywek, któreby ich oddalały od osób starszych.

Nakoniec *Oleś* siostrzeniec p. S. sierota wzięty przez ciotkę na wychowanie, przedstawił się nam może najsympatyczniej; ma on dobre skłonności i talent do malarstwa, ale nie jest z tego dumny; nie ubiega się za pochwałami, a przywiązany do ciotki i jej dzieci jak syn jej rodzony.

Panna *Amelija*, nauczycielka, zdaje się trochę zbyt uczona przy dzieciach takiej matki; wi-

dzimy ją wszędzie nie jako nauczycielkę, ale jako szóste dziecko p. S., nie ma w niej żadnej samodzielności, jaka u guwernantek być powinna, mało ona swem zdaniem i rozumem może dopomóc do rozwinięcia zdolności elewów sobie powierzonych.

O p. Henryku nauczycielu Tadzianie można nie sądzić; wiemy bowiem o nim tyle tylko, że prowadzi niepotrzebne dysputy z kolegami, którym się Tadzio przysłuchuje; czem prędzej może zaszkodzić niż pomóc do wykształcenia strony moralnej chłopca i tak zanadto na swój wiek rozwiniętego. Powiastka ta zasługuje na pochwałę, pod względem stylu i sposobu nauczania dzieci przez rozsądną matkę. Jednakże niepodobna nie wypowiedzieć kilku słów nagany za przemawianie do dzieci małych, jak gdyby one już miały też same pojęcia co i osoby dojrzałe, za mówienie dzieciom o *deizmie*, *darwinizmie*, *pozytywizmie*, o wątpliwościach co do istnienia Boga i duszy. Nie wydaje nam się, żeby zupełnie było rzeczą pedagogicznie usprawiedliwioną, nagłe wtłaczanie w umysły dzieci poglądów, do poznania których wiele potrzeba nauki i dobrze już wyćwiczonych umysłu.

Bibliografja polska XV—XVI stulecia. Zestawienie chronologiczne 7,200 druków w kształcie rejestru do bibliografii, tudzież spis abecedowy tych dzieł, które dochowały się w bibliotekach polskich, przez Karola Estreichera. Wydanie akademii umiejętności, staraniem komisji bibliograficznej. Kraków, 1875. str. 226 i XVI.

Sam tytuł dostatecznie już objaśnia treść dzieła, którego dokonał najpracowitszy i najznakomitszy nasz bibliograf, pan *Estreicher*. Wymieniając jego nazwisko dostateczną dajemy rękojmię umiejętnej opracowania tak ciekawej i tak ważnej rzeczy, jak bibliografja druków polskich od czasu ich nastania po rok 1600. Każdy miłośnik literatury książkę p. E. bezwarunkowo posiadać powinien, zarówno dla szukania w niej wskazówek jak i dla dopełniania jej. Rozbierać jej tu w krótkości niepodobna; dodamy więc tylko, że dla rozpoznania wśród cudzoziemców prócz polskiej, dodano jeszcze przedmowę w języku niemieckim.

Teoryja stylu polskiego (?), napisana przez *Józefę Kamocką* b. nauczycielkę i t. d. Warszawa 1875. w 8-ce, str. 273 oprócz wstępu, pytań z kursu całego, spisu rzeczy i sprostowań pomylek drukarskich.

Nie małą przysługę czyni społeczeństwu tak autor jak wydawca, gdy występuje u nas z książką naukowej treści, gdyż jak wiadomo z doświadczenia, na bardzo szczupłą liczbę czytelników rachować może. Stąd i dziwić się nie ma czemu, że u nas tak trudno o nową a dobrą książkę naukową, zwłaszcza też o książkę, któraby zastępowała nauczyciela, podawała gruntowne i wyczerpujące prawidła nietylko jasnego ale i pięknego wysłowienia się po polsku, bądź ustnie bądź piśmiennie.

Kiedy język nasz, pomimo przeróżnych wpływów, udoskonalił się i rozwinął, kiedy wielcy mistrzowie słowa, poeci nasi, podnieśli go do możliwej potęgi, kiedy ludzie uczeni

wciąż go urabiają we wszystkich gałęziach wiedzy; sama teoryja sztuki pisania od czasów Euzebijusza Słowackiego malutkie postępy uczyniła. Jedyne książki, jakie tu wymienić możemy, są podręczniki szkolne Sierocińskiego, Kudasiewicza, Rymarkiewicza, Mecherzyńskiego i Au. Jeskiego, którego „Stylistyka” jeśli nie jest najlepszą, to bezwątpienia najpraktyczniejszą.

Szczupłe grono tych pracowników zwiększyła p. Kamocka, i dała nam co dać mogła, zebrawszy i uporządkowawszy swoje wykłady szkolne. A więc tłumaczy nam ogólne pojęcie o stylu, skąd się on bierze, co znaczy i jak się dzieli; prześlicznym, lekkim stylem wypowiada, na czem polegają główne przymioty stylu i jakie są przeciwne mu wady, a ogólniki swoje popiera zaraz przykładami, czerpanymi z najznakomitszych pisarzy tegoczesnych. Dalej idą, również popularnie, chociaż nie dość ściśle określone, ozdoby stylu, gdzie mowa o zwykłych postaciach retorycznych, mających swoje źródło w wyobraźni lub uczuciu mówcy albo pisarza. Późem znajdujemy wymienione zwykłe rodzaje prozy z pobieżną wzmianką o pisarzach, którzy się w nich odznaczyli. Wreszcie wykazawszy charakterystyczne cechy stylu z epoki złotej, panegirycznej, klasycznej (?) i odrodzenia, całą drugą połowę książki autorka zapełniła wypisami z autorów 16, 17, 18 i 19 wieku. Wybór wszędzie trafny i stosowny, szkoda tylko, że brak mu pewnych objaśnień, któreby uwydatniały to, co autorka powiedziała w pierwszej połowie swej książki. Uczeń lub uczący wieleby na tem skorzystali, gdy tymczasem owe wyciągi same sobie zostawione, niczem się nie różnią od zwykłych wypisów, na których nam, dzięki Bogu, nie zbywa.

Autorka teoryi stylu *polskiego* pisze stylem poprawnym, naturalnym, potoczystym, ale czy polskim, w prostocie ducha powiemy, że nie wiemy, bośmy nigdy o takim stylu nie słyszeli, tak jak nie słyszeliśmy o estetyce np. francuskiej lub niemieckiej. Wprawdzie był czas, kiedy chciano u nas stworzyć filozofiją polską, ale to zupełnie rzecz inna, gdyż tam miano na widoku taki systemat, któryby dalekim będąc od zabującej abstrakcji Heglów i Szellingów, oraz od zbytniego realizmu niektórych myślicieli francuzkich lub angielskich, zgodnym był z duchem naszym, wypływał z narodowego usposobienia naszego. Dziś stosunek ten zmienił się i więcej pomiędzy francuzami naliczymy idealistów, niż pomiędzy pozytywistami niemieckimi. I nazwy filozofii niemieckiej lub francuskiej, jako zupełnie konwencyjonalne, nie mają żadnego znaczenia, zapomniane zostały. Gdy oto naraz zjawia się nam teoryja stylu *polskiego*... ale dajmy temu pokój, jest to po prostu *lapsus calami* naszej autorki, gdyż jesteśmy przekonani, iż miała jedynie na myśli podanie prawideł pisania zgodnie z naturą języka polskiego.

Praca panny Kamockiej nader pochlebnie znalazła uznanie prawie we wszystkich organach naszej prasy peryjodycznej, i słusznie bardzo, gdyż piękniej i gładziej wypowiedziała znane prawidła poprawnego pisania, niżeli to uczynili jej poprzednicy, zwłaszcza, gdy stare przykłady zastąpiła nowymi, wyrzuciła

wszelkie cytaty łacińskie jako spowszedniałe, i korzystała widocznie z poglądów tegoczesnej krytyki.

Ponieważ pocziw i serdeczną pracę autorki uważamy za ostatni wyraz, do jakiego u nas po latach tylu doszła teoryja trudnej sztuki pisania, poważamy się zwrócić jej uwagę na pewne opuszczenie. Na samym wstępie swej książki uczy nas autorka, że na dobrą teoryję pisania składa się gramatyka, estetyka i logika. Jakoż, pisząc przeważnie dla pańien, z estetyki szczodra dłonią czerpie prawidła piękności, uważając ją w swej teorii za główny punkt wyjścia; przypomina gramatykę, rozwodząc się, niestety! dość nieszczęśliwie i bardzo powierzchownie o budowie okresów i o stylu tak zwanym peryjodycznym i ucinkowym. Czemuż pominęła tylko logikę? Autorka wie zapewne z doświadczenia, że niejedna uczennica pisze stylem prześlicznym, łatwym, pełnym ozdób i zwrotów cudownych, a jednak całemu jej wypracowaniu brak jednej drobnej rzeczy... brak sensu, brak porządku. To co powinno było być na początku, znalazło się na końcu, nad prostym ubocznym przedmiotem, genialna dziewczica idąc za zwykłą władzą kojarzenia się pojęć (*associatio idearum*) rozszerzyła się nad miarę, gdy rzecz główną zaledwie kilku wyrazami zbyła. A cóż tu mówić o tych biedaczkach, co to gryzą pióro i patrzą w niebo, i same nie wiedzą od czego zacząć, co napisać i na czem skończyć! Jeśli dawne tak zwane retoryki aż do znudzenia podawały przepisy, jaki winien być wstęp, a jakie zakończenie, jak zbierać i porządkować *argumenta*, jak je *amplifikować*, a późniejsza logika dodała konieczny wzgląd na zakres i rozciągłość wygłaszanych pojęć, to jak wiadomo czytelnikom nie utworzyła wielkiego mówcy, albo pisarza, ale brat szlachcic wyćwiczony na takich chryjach, kiedy co napisał albo się odezwał na jakim zebraniu, to przemawiał językiem często dziwnym, naszpikowanym łacińskimi sentencjami, ale w tem zawsze był sens, było zaokrąglenie, była pewna całość.

Otóż nasza autorka owo porządkowanie i ułożenie w całość rozproszonych w umyśle piszącego myśli, pominęła zupełnie. A czemuż to? Czy ją tak zachwyciły nasze artykuły dziennikarskie, nasze felijetony, w których dowcip, śmiałość, ironija, niekiedy myśl wielka i głęboka, z umysłu czy mimowolnie tak są pomieszane i pogmatwane, iż w końcu uwierzysz, że nedorzecznością jest dawana ci przez starego nauczyciela przestroga, jakoby porządek był duszą rzeczy.

Opuszczenie to jest rażącym, dla tego niepłonną mamy nadzieję, że autorka w drugiem wydaniu swej pożytecznej i tak pożądanej pracy, pominie to uzupełni, określeniom swoim doda więcej naukowej ścisłości, przykłady objaśni a wypisy opatrzy koniecznymi uwagami. A może jeszcze wycofa z obiegu ową kreseczkę, znak ulubiony pióra niewieściego, którego znaczenia napróżno dopytuje się ciekawa uczennica. Raz, kreseczka owa kładzie się za przecinek, to znów za średnik, a nawet dwukropkę, a niekiedy wraz z przecinkiem. Raz jest znakiem deklamacyjnym, drugi raz reguluje stosunek zdań w okresie. Prawda, że tego

dowolnego posługiwania się niewinną kreseczką, pełno w naszych książkach i pismach peryjodycznych, ale książce naukowej treści, grzeszyć takim grzechem nie wolno.

J. P.

Henryk hr. Rzewuski. Zamek Krakowski. Romans historyczny z wieku XVI. Warszawa 1875.
Str. 424.

Jestto trzecie z kolei wydanie. Pierwsze ukazało się przed dwudziestu blisko laty i bardzo prędko drugi raz przedrukowanem być musiało. W owym czasie Rzewuski cieszył się powodzeniem nie często u nas praktykowanem; widziano w nim nie tylko najznakomitszego powieściopisarza historycznego, ale najgenialniejszego autora w ogóle. Dzisiaj czasy się już zmieniły; powaga Rzewuskiego oddawna już zmalala, wywoławszy w swoim czasie nader smutne dla oświaty polskiej skutki. Dziś Rzewuski oczekuje na historyka, któryby istotne zasługi od błyszczących i łudzących pozorów starannie oddzielił. W tej krótkiej notatce postaramy się zaznajomić czytelników z najogólniejszą treścią romansu historycznego: „Zamek Krakowski,” na nowo wydanego w Bibliotece najcenniejszych utworów literatury europejskiej, p. Lewentala.

Osnową „Zamku Krakowskiego” jest historia Samuela Zborowskiego, młodzieńca gwałtownego, popędliwego, ale odznaczającego się wielkimi przymiotami duszy i ciała. Uciekłszy dla uniknięcia niemiłego małżeństwa na Ruś między kozaków, walecznością swoją sprawił to, że został wybrany ich atamanem. Razu pewnego ocalał od napadu i rozboju synowicę ks. siedmiogrodzkiego Stefana Batorego, ku której namiętną przejął się miłością. Wówczas w Polsce, po śmierci ostatniego Jagiellończyka wybrano na króla Henryka Walezyjusza, który urządził świetny turniej rycerski pod Krakowem. Na tym turnieju Samuel został zwycięzcą, ale przez brak panowania obraził Tęczyńskiego. Powstała stąd obustronna niechęć, której skutkiem było wydobycie oręża w obec króla i zabójstwo Wapowskiego, wysłannika królewskiego, chcącego zapobiedz rozlewowi krwi. Samuel został skazany na wygnanie czyli banicję i pod karą miecza nie wolno mu było pokazywać się w kraju. Wówczas bohater udaje się na dwór Batorego i stara się pozyskać serce Gryzeldy, owej synowicy księcia, którą z pierwszego wejrzenia pokochał, ale napróżno wzajemności się dobił. Tam bezczynnie rok cały strawił. Tymczasem w kraju zaszły ważne zmiany. Henryk uciekł do Francji, a na jego miejsce obrano Stefana Batorego. W poselstwie do niego z oznajmieniem elekcji, znajdował się między innymi Jan Zamojski, coraz większego wpływu wśród szlachty nabierający. I u Stefana Batorego całą ufność pozyskał.

Wielkie wypadki dziejowe powołały do broni wszystkich prawych obywateli. Samuel za namową krewnych swoich i Zamojskiego udał się razem z innymi na wojnę i świetnie odznaczył się czyny. Ale po skończonej wyprawie chciał koniecznie powrócić do kraju, tym bardziej gdy się dowiedział, że Gryzelda wyszła za Zamojskiego. Odtąd przejął się niena-

wieścią dla tego męża i pomimo jego ostrzeżeń za radą zdradliwego Niemca Winrycha przyjechał do Krakowa i publicznie Zamojskiego znieważał. Ten puścił mimo siebie urazę a nawet chociaż starosta krakowski miał prawo uwięzić i skazać na śmierć Samuela, starał się go skłonić do ucieczki. Napróżno! Winrych sprowadza nieszczęśliwego podstępem do pani Wapowskiej, która go oddaje w ręce sprawiedliwości. Zamojski musiał spełnić wyrok ale przed ścięciem uzyskał przebaczenie niewłaścicielowi soba awanturnika.

Jak widzimy, świetna treść zarówno pod indywidualnym jak i ogólnym względem! Charaktery osób, położenia ich, pierwsze w Polsce bezkrólewie, świetna wojna na północy — to znakomity materiał nie tylko do powieści historycznej, ale i do epeji. Rzewuski w bardzo małej tylko mierze materiału ten zużytkował. Utwór jego jest opowiadaniem, ale nie romansem. Brak mu skupienia, w któremby się zestrzeliwały wszystkie rozproszone promienie wypadków dziejów. Charakterystyka tylko udała mu się wybornie, ale w podrzędnych jedynie postaciach. Humiecki, Zdora, Falendysz, oto są postacie prawdziwie artystycznie obrobione. Zamojski natomiast wygląda sztywno a niewyraźnie, zawsze jakby za parawanem się znajdował. Gryzelda pomimo niektórych rysów charakterystycznych (odwaga, determinacja) jest zanadto bierną istotą, jak na bohaterkę romansu. Sam Samuel zostaje w cieniu i tylko jego niepomiarkowaną gwałtowność a żar uczuć widzieć możemy na scenie; nie brak mu nawet śmiesznej melodramatyczności. Opowiadanie ciągnie się niezmiernie powoli jak wóz po piasku.

P. Ch.

ROZMAITOŚCI.

— Jenerał major gwardii artylerji, Starinkiewicz, przybył do Warszawy, dla objęcia obowiązków prezydenta naszego miasta.

— Krążyły pogłoski, jakoby towarzystwo kredytowe ziemskie czyniło starania o odroczenie lub umorzenie nawet tegorocznej raty grudniowej; a to w skutku obecnego zastoju w dziedzinie rolnictwa i roku nieurodzajnego. Wieści tej jednak urzędownie zaprzeczono.

— Dyrekcja teatru Skarbowskiego we Lwowie, nabyła prawo przedstawienia nowej komedji 5-aktowej pana Michała Bałuckiego p. t. „Pozłacana młodzież.”

— Wedle gazety „Pall Mall gazette” zagranicznym konsułom zakomunikowaną została szczegółowa wiadomość o ludności Hercegowiny i Bośni. Takowa wynosi do 1,212,000. W tej liczbie 572,000 prawosławnych, 442,000 muzułmanów, 186,000 katolików, przeszło 2,000 żydów i 10,000 cyganów.

— Bezsilność Turków w Hercegowinie jest bajeczną. Państwo ściągające z obywateli swoich ogromne fundusze na utrzymanie 150,000 ludzi w czasach pokoju, nie może stawić czoła powstańcom hercegowińskim, których ogólna liczba po najdokładniejszym

obliczeniu pewnoby 15,000 nie przeniosła, a bardzo do prawdy podobni ustanowiona być może na jakie 10,000 ludzi. Żołnierze objawiają niesubordynację, nie chcą ruszać na linię, biją się źle — bo są źle żywieni, a niektóre kompanie od półtora roku podobno już jednego piasra żołdu nie widziały. W ten sposób Turcja odrzucającą pojednanie ofiarowane jej ze strony, z której zawsze dotychczas widziała nadciągające dla siebie niebezpieczeństwo, dowodzi wielkiego nierozumu i większego jeszcze niedołęstwa i sama nad upadkiem swoim pracuje. Europa będzie musiała obmyśleć taką kombinację, w którejby równowaga nad Dunajem i na południe od tej granicy, utrzymaną została nie tylko bez pomocy półksiężyca, ale jeszcze pod tym warunkiem nieodzownym, że cały ten gmach przyszedł na gruzach panowania tureckiego wzniesionym zostanie. Taka będzie nieuchronna konieczność, jeżeli się nie zjawi, cudem prawie, jaki nowy Selim lub Kiupriuli i w żelazne kleszcze rozumu i instynktu zachowawczego nie pochwyci całego organizmu państwa, całego ustroju społecznego, aby z nich wytworzyć zbiorowiska zdolne do życia. Lecz zjawienie się takiego człowieka może być tylko marzeniem, nie jest i nigdy nie będzie trzewem przewidywaniem i w rachubę polityczną poważną wchodzić nie powinno.

— Telegramy południowo-słowiańskie donoszą, że powstańcy w znacznej sile zbierają się między Dubrownikiem (w Dalmaeyi) i Tabiniją.

— Dzienniki pruskie szczegółowo rozpowiadają o wieczorach jakie ks. Bismarck daje teraz dla członków parlamentu niemieckiego. Kanclerz ma wyglądać tak zdrowo i czerstwo, że goście jego nie mogą się dopatrzeć śladu owych „nocy bezsennych i cierpień nerwowych,” które miały mu tak bardzo dokuczać w Wareynie. Nikt nie chce wierzyć, że ks. Bismarck chorował. „Ten dyjabeł Bismarck długo jeszcze pożyje, bo zdrow jak ryba” — miał powiedzieć jeden z członków rady związkowej do członka parlamentu, a ks. Bismarck usłyszawszy to przytwierdził: „Masz pan rację, jestem zdrow jak nigdy.” Sprawozdawcy z tych przyjęć kanclerskich dodają, że ks. Bismarck rozmawiał o wszystkim tylko starannie unikał dotykania jednego przedmiotu, który dziś żywo cały świat polityczny zajmuje — kwestji wschodniej.

Jak zawiadamia „Presse,” ambassador niemiecki w Wiedniu, jenerał Schweinitz w tych dniach udaje się jako ambassador do Petersburga.

Jako powód tej tranzlokacji dziennik ministeryjalny wiedeński przytacza okoliczność, iż ów dyplomata pruski jest najlepiej wtajemniczonym znawcą spraw wschodnich.

— W Austrii ważna teraz pertraktuje się sprawa. W r. 1877 dobiega do kresu układ polityczno-skarbowy Węgier z Przedlitawiją. Interes obu państw, a szczególnie Węgier wymagał wypowiedzenia traktatu celnego jaki spaja kraje korony św. Stefana z właściwą Habsburgiją i prowincjami słowiańskimi. Węgry pierwsze przysłały d. 28 z. m. wypowiedzenie jedności celnej. Minister Tisza objaśnił jednak zaraz swoje stronnictwo, że spo-

dziewa się, iż jedność celna i nadal — na dogodniejszych tylko warunkach — da się utrzymać, a rząd austriacki objawia ze swej strony wielką ku temu skłonność. Podobne oświadczenie złożył znowu Auersperg w wiedeńskiej radzie państwa. Zdaje się więc, że sprawa ta nie przebiedzie kolei cięższych, któreby zagrozić mogły samej jedności politycznej obu państw.

— Z przeszłości pani Mac-Mahon. W zimie roku 1838 w seminarjum żeńskim w Limoges wybuch pożar, który wnet ogarnął cały budynek. Nagle rozległ się okrzyk przerażenia: przypominano sobie, że w objętych ogniem pokojach została mała dziewczynka. Podczas gdy większa część świadków tej okropnej sceny Bogu już polecała biedne dziecko, nie widząc sposobu ratowania go, z grona pensjonarek smukła dziewczica, otulona tylko nocną jakąś narzutką i z okrzykiem: „Ja ją wyratuję,“ przebiła się przez tłum otaczający pogorzelisko i rzuciła się w płomienie. Po upływie minuty, w ciągu której żaden z obecnych szeptem nawet nie zakłócił ciszy strasznego oczekiwania, ujrano wychylającą się z płomieni białą postać z przerażeniem dzieckiem na ręku. Poświęcenie dokonało tu istotnie cudu: dziewczynka była uratowana. W kilka dni później król Ludwik Filip przysłał bohaterkiej dziewczicy złoty medal, a młody kapitan armii francuskiej, który był świadkiem jej bohaterskiego czynu, oświadczył się o jej rękę. Tym kapitanem był, dzisiejszy prezydent republiki francuskiej, a bohaterka, pensjonarka z Limoges, nazywa się dziś panią Mac-Mahon, księżną Magenty.

— Do najpłodniejszych pisarzy bieżącego stulecia, należy znakomity publicysta i belletrystyka węgierski Maurycy Jokai, znany już i u nas z kilku przekładów. Od r. 1846 wydał przeszło 200 tomów swych powieści, nie licząc prac poważniejszych, poezji, mów sejmowych i t. p. W skutek takiego natężenia umysłowego, zachorował przed niedawnym czasem, a lekarze kazali mu na czas niejaki wstrzymać się od wszelkich piśmiennych zajęć.

— Niejaki p. Denayrouse, porucznik artylerii francuskiej, wynalazł przyrząd za pomocą którego, można, zanurzwszy się w morze, podplynać niepostrzeżenie pod nieprzyjacielskie okręty, i przymocowawszy do nich piekielne torpedy, od takowych elektryczną komunikację łatwo do brzegów urządzić. Wynalazek p. Denayrouse pozwala zaopatrzonemu weń nurkowi pozostawać przeszło dwie godziny pod wodą, gasić i zapalać lampę, radzić się przy jej świetle kompasu i t. p. Wynalazek to niesłychanej doniosłości: dziwna rzecz tylko, dla czego pierwsze próby z nim odbywały się, jak donoszą gazety, w Anglii, a nie w ojczyźnie wynalazcy?...

— Zgromadzenie narodowe w Wersalu dnia 30 listopada przyjęło 532 głosami, przeciwko 87 w trzecim odczytaniu nowe prawo wyborcze dla Francji. Prawna działalność dzisiejszego zgromadzenia ustać ma dopiero w dniu 4 marca. Niewiadomo z jakiego powodu p. Du Clerg, datę zebrania się nowych izb opóźnia do 16 marca. Czyby dla tego, że jest to rocznica (20) urodzin księcia cesarskiego,

przyszłego Napoleona IV, a szanowny deputowany chce dać p. Buffetowi miesiąc czasu do przygotowania zamachu stanu na samą własnie rocznicę?

— Książę kanclerz Gorezaków wracając z zagranicy po długiej nieobecności, zatrzymał się w Berlinie. Pobyt ten ma znaczenie polityczne. Według depeszy z dobrego źródła na konferencyjach księcia z kanclerzem niemieckim, do których wezwany był także i Karolowi poseł austriacki, stanęło zupełne porozumienie w kwestyi wschodniej między Niemcami i Rosyją. Gabinet petersburski otrzymał już propozycje austriackie względem rozpostarcia opieki nad Bośnią i Hercegowiną. W tym przedmiocie spodziewana jest wkrótce stanowcza decyzja. Taż sama depesza dodaje że trzy mocarstwa północne otrzymawszy od Anglii zawiadomienie o manipulacji suezkiej, przychylnie ją przyjęły.

— „Tagblatt“ wiedeński podaje następujące punkta projektu reform, opracowanego na podstawie irade z dnia 2 października:

1. Bośnia i Hercegowina rozdzielone zostaną na dwa wilajety, każdy pod osobnym gubernatorem i wice-gubernatorem.

2. Gubernatorem będzie mógł być chrześcijanin, wice-gubernatorem chrześcijanin być musi.

3. Przy boku gubernatora znajduje się sejm prowincjonalny, oraz delegacja administracyjna, kontrolująca zarząd gubernatorski.

4. Gminy otrzymają samorząd tak znaczny, że same ściągają będą podatki, a pod względem policyjnym państwo pozostanie tylko przy policyi politycznej.

5. Wszelkie podatki pogłównie i dziesięcinowe ustąpią miejsca nowym istniejącym w Europie, na zasadach słuszności i trzeźwo pojętego interesu ekonomicznego.

6. W miejsce obowiązujących praw cywilnych, wprowadzonym zostanie kodeks Napoleona.

Według korespondencji „Havasa,“ Raszyd-pasza, nowy minister spraw zagranicznych jest zwolennikiem ustępstw powszechnych dla wszystkich krajów i narodowości władzy półksiężyca ulegających.

Skąd inąd donoszą, że w Stambule istnieją ciągle obawy, aby stronnictwo wojenne nie odniosło przewagi na radach sułtana. Obawy takie jeżeli są rzeczywiście, wielkiego znaczenia mieć nie mogą.

Turkom ciągle się w Hercegowinie nie powodzi. Telegram z Zary, w Dalmacji (wymagający potwierdzenia), donosi że powstańcy zmusili do poddania się fort Gorańsko. Dwa bataliony nizamów (piechoty regularnej), dostać się miały przy tej okazji do niewoli.

Na radzie ministeryjalnej w Madrycie, w obecności generałów Martinez Campos i Quesada, postanowiono utworzyć dwie armije po 5 dywizyj; jedna stanie w prowincjach Basków, druga w Nawarze. Quesada obejmie dowództwo nad pierwszą, Campos nad drugą.

Wybory kortezów odbyć się mają w lutym r. p.

Król Alfons d. 28 listopada ukończył 18 rok życia.

„Gazeta Madrycka“ miała onegdaj ogłosić powrót p. Canovas na stanowisko pierwszego ministra.

— Czytamy w „Gołosie:“ Towarzystwo opieki nad rannymi i chorymi wojownikami z rozporządzenia Najjaśniejszej Pani, Swej Protektorki, wysyła do Cetyunii swoich pełnomocników dla pomagania rodzinom, które ucierpiały w Bośni i Hercegowinie, oraz szpital na sto łóżek. Dla niesienia lekarskiej pomocy rannym, wyjeżdżają stąd czterej lekarze, siostry miłosierdzia, felerzerzy i aptekarze. Mieсяczne wydatki szpitalne obliczono na 10,000 rs.

OGŁOSZENIA.

DZIEŁA WYDANE NAKŁADEM

drukarni

J. Korzeniowskiego.

ulica Śto-Jerska Nr. 12 nowy w Warszawie.

Dolinowski Ks. J. Pszczolnictwo praktyczne czyli chów pszczoł w ulu ramowym. Wyd. 2 (z 57 drzewor.) 1875, rsr. 1 kop. 20, z przesyłką rsr. 1 kop. 35.

Grajnert J. Bajki i przypowieści, 1874, kop. 25, z przesyłką kop. 30.

Leroy-Beaulieu P. Praca kobiet w XIX wieku. Dzieło uwieńczone przez francuską akademię nauk moralnych i politycznych. Przełożyła z francuskiego A. S. 1875, kop. 90, z przesyłką rsr. 1.

Nadwiślanin. Kalendarz dla miejskiego i wiejskiego ludu na rok 1876. kop. 15 z przesyłką kop. 20. Pożyczający od tuzina za przysyłką nie się nie płaci.

Majewski K. Wykład początków zasadniczych Rolnictwa, Historii naturalnej ziemiańskiej i ogrodnictwa, podług stanu oraz metody nauczania tych umiejętności w b. Inst. gosp. wiejsk. i leśn. w Marymoncie, zebrane i opracowane, tudzież dodatkami odpowiedniami uzupełnione. Tom I-szy Zasady Rolnictwa, z portretem Seweryna Zdzitowieckiego, z prenumeratą na 2-gi i 3-ci. rsr. 6, z przesyłką rsr. 6 kop. 60.

Pietraszek J. Mechanika popularna czyli podręcznik dla maszynistów i mechaników w ogólności tudzież dla gospodarzy wiejskich i do wykładów w szkołach rzemieślniczych. Całość podzielona na dwie części: Część I obejmuje: Arytmetykę, Algebrę, Geometrię, Solidometrię i Trygonometrię płaską, z tablicami miar i wag oraz zasady Mechaniki, t. j. wykład Statyki, Dynamiki, Aerostatyki i Hydrauliki. Część II. Para i jej zastosowanie; kotły i maszyny parowe, warsztatowe i rolnicze. Dalej opisanie zakładów przemysłowych, bliższy związek z rolnictwem mających: jak młyny, tartaki, olejarnie, gorzelnie, browary, krochmalnie, cukrownie i t. p. Na końcu dodane będą tablice służące do użytku technicznego i Słownik wyrazów technicznych, w języku polskim, niemieckim i francuskim. — Dzieło to wychodzi zeszytami w formacie in 8-vo majori, z 300 przeszło drzeworytami w tekście. Zeszytów wyjdzie sześć. Pierwszy i drugi zeszyt już wyszedł z druku, a całe dzieło w r. b. ukończone zostanie. Prenumerata wynosi rsr. 3 kop. 60 za całe dzieło, lub częściowo t. j. przy pierwszym zeszycie rsr. 1, przy odbiorze następnych po k. 65, ostatni wydany będzie prenumeratorem bezpłatnie. — Z prowincji nadsyłający prenumeratę całkowitą pod adresem Wydawcy, otrzymywać będą zeszyty bez kosztów przesyłki zaraz po wyjściu z druku.

Pietraszek J. Żniwiarka, jej historia, budowa i użycie. Podręcznik dla techników i rolników. Z 42-ma drzeworytami rsr. 1 kop. 20, z przesyłką rsr. 1 kop. 50.

Pohlens E. Leśnictwo praktyczne. Wykład zastosowany do potrzeb Obywateli, posiadających lub życzących zaprowadzać u siebie lasy (z 47 drzeworytami i planami) 1875, rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 20.

Rosenberg-Lipiński A. Praktyczne rolnictwo, zastosowane do racjonalnej uprawy roli, 2 tomy in 8-vo z portr. Autora i drzeworytami, 1874 i 1875. rs. 4, z przesyłką rs. 4 k. 50.

Prenumeratorki „Opiekuna domowego“ wypisujące książki z tego katalogu wprost od wydawcy, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Nabywający 10 egzemplarzy jakiego dzieła, otrzymają 11-ty egz. bezpłatnie.

Adres: J. Korzeniowski, Drukarz-Wydawca w Warszawie ulica Śto-Jerska Nr. 12.

OD REDAKCYI.

W roku przysłym 1876 „Opiekun Domowy“ wychodzić będzie nadal pod dotychczasową redakcją, w tym samym co obecnie formacie i kierunku.

Spółka wydawnicza jakąśmy zawarli z panem Juljanem Korzeniewskim właścicielem drukarni, pozwoli nam wypełniać odtąd dokładnie wszystkie działy rozległego programu „Opiekuna“, co nietylko ożywi pismo i poczytniejszym je uczyni, ale zarazem nada mu trwałą i rzeczywistą wartość.

„Opiekun“ będzie pismem **ilustrowanem**, i od Nowego Roku począwszy, każdy jego numer, ilustrowany będzie **licznymi drzeworytami** które o ile dziś już z usilnych, przedsięwziętych w kierunku tym starań, przypuszczać sobie pozwalamy, potrafią w zupełności zadowolić wysoko wykształcony smak artystyczny publiczności naszej.

Od nowego też przyszłego roku, zamieszczać będziemy

w „Opiekunie“ stale i peryjodycznie **Mody damskie, męskie i dzieciinne**; pod tym jednakże względem nie będziemy konkurować z żadnem innem pismem modnym. Nie o bogactwo bowiem ubiorów, nie o dogodzenie kapryśnym a zbyt często dziwnym wymogom mody chodzić nam będzie, ale o to aby podawać opisy i wzory ubrań odpowiednich, gustownych a tanich; sądzymy bowiem, że czytelniczki polskie ku wygodzie których dział ten wprowadzamy, łącznie z nami pojmują niewłaściwość rujnowania się na przesadne stroje, gdy tyle nędzy do koła, gdy leży odłogiem tyle pilnych potrzeb społecznych.

W prospekcie jaki w tych dniach opuści prasy drukarskie rozwiniemy więcej szczegółowo zakres przyszłej działalności naszej — obecnie zaś nadmieniamy, że ufni w obywatelskie poparcie usiłowań naszych, dotychczasową cenę pisma pozostawiamy bez zmiany, mianowicie:

Przedpłata na „OPIEKUNA DOMOWEGO“ wynosić będzie:

w Warszawie łącznie z odnoszeniem do domu.	Na prowincyi i w Cesarstwie łącznie z przesyłką pocztową i opakowaniem.	Za granicą: W Austrii za pośrednictwem księgarni G. Gebethnera i Spółki w Krakowie.
Rocznie rs. 6 kop. —	Rocznie rs. 8	w Krakowie rocz. z stem. dzien. Złr. 10 c. —
półrocznie „ 3 „ —	półrocznie : „ 4	w Galicyi „ „ „ „ 11 „ 50
kwartalnie „ 1 „ 50	kwartalnie „ 2	w Prusach 24 marek.
miesięcznie „ — „ 50		

Prenumerować można w Warszawie we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryjodycznych.

Prenumeratę z Królestwa i Cesarstwa, upraszamy nadsyłać wprost pod adresem:

J. Korzeniewski Wydawca „Opiekuna Domowego“, ulica Śt. Jerska, Nr. 12 w Warszawie.

Skład główny i ekspedycja pisma odbywać się też będzie wprost z Kantoru drukarni Wydawcy ulica Śt.-Jerska, Nr. 12 nowy.

Spółka wydawnicza o jakiej wspominaliśmy powyżej, pozwoli nam też zająć się urzeczywistnieniem ulubionej myśli naszej — ukończeniem mianowicie wydawnictwa p. t.: „**Wychowanie Domowe**“ które dla zbyt małego poparcia zawiesić byliśmy zmuszeni, na pierwszych ośmiu tomach. Wydawnictwo to obejmie w ogóle **25 tomów dzieł oryginalnych, mających na celu początkowe wychowanie i wykształcenie** a zbyt jest ważnem dziś dla nas, iżbyśmy ośmielili się przypuszczać że wśród rodzin naszych nie znajdzie i na teraz jak najszerszego przyjęcia, iżbyśmy przypuszczać śmieli że wśród rodzin tych wygasła już chęć popierania tego co dąży do zwiększenia ogólnego dobra, do podniesienia ogólnej oświaty, a przede wszystkim do wytworzenia w domowych progach, blaskiem zdrowej i pożytecznej nauki ogrzanych przybytków, z którychby na pożytek kraju wychodzili dzielni i szlachetni obywatele. O wydawnictwie tem zawiadomimy również szczegółowo w prospekcie.

szego przyjęcia, iżbyśmy przypuszczać śmieli że wśród rodzin tych wygasła już chęć popierania tego co dąży do zwiększenia ogólnego dobra, do podniesienia ogólnej oświaty, a przede wszystkim do wytworzenia w domowych progach, blaskiem zdrowej i pożytecznej nauki ogrzanych przybytków, z którychby na pożytek kraju wychodzili dzielni i szlachetni obywatele. O wydawnictwie tem zawiadomimy również szczegółowo w prospekcie.

Cena całego wydawnictwa p. t.: „**WYCHOWANE DOMOWE**“ wynosi:

w Warszawie rs. 6	Na prowincyi i w Cesarstwie rs. 7 kp. 50
-----------------------------	--

OD WYDAWCY.

Pragnąc z jednej strony wywdziżyć się Szanownym Czytelnikom „Opiekuna Domowego“ za łaskawe popieranie naszego wydawnictwa, z drugiej zaś strony chcąc sobie względy ich zaskarbić na przyszłość, postanowiliśmy udzielać prenumeratorom **odpowiednie premija**. O szczegółach co do premij takowych na rok przysły, 1876, zawiadomimy Szanownych prenumeratorów w właściwym czasie, dziś mamy honor powiadomić tylko że **jako premijum dla wszystkich obecnych PP. prenumeratorów naszych** przeznaczylismy przełożone na język polski dzieło **Pawła Leroy-Beaulieu**, uwieńczone przez francuską akademię nauk moralnych i politycznych p. t.:

PRACA KOBIET w XIX wieku.

Dzieło to obejmujące 318 stron ścisłego druku dołączymy do numeru pisma w połowie miesiąca Grudnia r. b.